

# odgłosy



33 (717)  
15. VIII. 1971 r.  
Cena 1,50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV**



Fot. W. Parys

FELIKS BĄBOL

## Co za te miliardy?

Liczby, liczby... Ale w tych liczbach mieści się cały wielki zamiar. Nie tylko zresztą zamiar. W liczbach stanowiących najważniejszą treść programu unowocześnienia Łodzi i jej przemysłu w okresie do 1975 roku opracowanego przez komisję partyjno-rządową mieści się również... pożegnanie z historią wielkich zaniedbań, które tak fatalnie odbiły się w odczuciu załóg robotniczych, w świadomości mieszkańców drugiego co do wielkości miasta w Polsce. Zatrzymajmy się więc nad przemysłem włókienniczym, który przez długie lata zbierał owoce swego rodzaju nonszalanckiej w traktowaniu środowiska ludzkiej pracy, najogólniej mówiąc — warunków, w których powstawał dechód narodowy wypracowany wysiłkiem łódzkiego przodek, tkaczy, robotników przemysłu odzieżowego, dziewiarskiego czy jedwabniczego.

Cyfry zawarte w programie unowocześnienia przemysłu włókienniczego stanowią część ogólniejszych zamierzeń partii i rządu w dziedzinie modernizacji miasta i jego przemysłu — te cyfry, bez popadania w megalomanię, są naprawdę zawrotne. Dość powiedzieć, że środki finansowe, jakie gospodarka narodowa przeznaczona na modernizację przemysłu włókienniczego w latach 1971—75 są pięć razy wyższe, niż np. w okresie 1961—65, a trzy razy wyższe niż środki przeznaczone na ten cel w pięcioletce poprzedniej. W rezultacie Łódź, która produkuje czwartą część wyrobów całego przemysłu lekkiego w kraju, otrzyma aż trzecią część funduszy planowanych na inwestycje dla całego przemysłu lekkiego w Polsce.

Po raz pierwszy w dziejach Łodzi powojennej spłynie na nasze miasto i jego klasyczny przemysł włókienniczy tak wielki strumień inwestycji, który pozwoli na dokonanie zasadniczego skoku zarówno w dziedzinie technologii i techniki, jak i w sferze najbliższej twórczości dochodu narodowego — warunków codziennej pracy. Jest to kwota wynosząca 14 miliardów 352 miliony zł. Trzecia część tych środków pójdzie na dokończenie wielkich inwestycji włókienniczych rozpoczętych już dawniej, prawie połowa — na nowe fabryki, reprezentujące w swych technicznych założeniach poziom światowy.

Zakończymy więc za te pieniądze budowę wielkiego kombinatu dziewiarskiego na Teofilowie, który już w tym 5-leciu ma produkować 4 mln. m. dzianin ubraniowych i sukienkowych o wartości 4 mld. 364 mln. rocznie. Kombinatu ten w powiązaniu z fabrykami odzieżowymi dostarczać będzie na rynek krajowy wyrobów mało dotychczas znanych a nowoczesnych i praktycznych. Ubrania, płaszcze i sukienki z dzianiny tkaninopodobnej są lekkie, przewiewne, niemące, bardzo praktyczne. Wszystkie produkujące w świecie przemysły włókiennicze przedstawiają w coraz większym zakresie swe fabryki odzieżowe na szycie konfekcji z dzianin. W ten sposób i łódzki „Teofilów” pomoże nam dotrzymać kroku światowej technice.

Już w przyszłym roku rozpocznie produkcję budowana na Nowych Sadach „Olimpia II”, której roczne możliwości wytwarzania wyrobów dziewiarskich sięgną blisko 6 mln sztuk

Dalszy ciąg na str. 3

ZOFIA TARNOWSKA

## ...I JESTEM CZŁOWIEKIEM

UMORUSANI, w podartych trampkach, z gołymi torsami — pracują w ogrodzie. W rękach motyki i inne narzędzia do pelenia i okopywania warzyw. Ziemia jest wyschnięta, kurz wzbija się tumanami pod uderzeniami motyk. Pracują bez przekonania, ale wychowawca mówi, że spisują się dobrze. Kilku z nich ma dziś podwójne normy do wykonania. Za karę. Lenistwo nie jest tu tolerowane. Lenistwo jest wrogiem do- brych zasad wychowawczych, które jed-

nych z młodych ludzi mają wyprowadzić z pogardy do pracy, wzbudzić dla niej szacunek i poczucie wartości, innych zaś nauczyć pracy od abecadła. Bo oni nigdy nie pracowali, może któryś z nich miał się dorywco, pomagał rodzicom — bo musiał, usiłował zarobkować pracą — nie dawała pożądanego efektów placowych, więc rzucił i brał się do czego innego. Do czego?

Sprowadziło ich tu przestępstwo. Trudno uwierzyć, że człowiek, który ma lat

16, obarczony jest balastem, który przez lata całe trzeba zdejmować z jego życiorysu, z psychiki. A tacy tu właśnie są. W Studzieńcu — zakładzie poprawczym, liczącym sobie już 100 lat funkcji przywracania społeczeństwu młodocianych przestępców. Około 80 lat temu dyrektorem Studzieńca był przez dwa lata Władysław Skłodowski — ojciec Marii Curie-Skłodowskiej. Nie wiem, jakie wówczas przestępstwa były udziałem wychowanków, nie są nam zresztą potrzebne analogie i konfrontacje sprzed dziesiątków lat. Mamy aktualny kłopot, powiększający swe rozmiary ilościowo i jakościowo. Kłopot społeczny i ekonomiczny. Stuletnie pawilony Studzieńca kruszą się, a Studzieńców mamy za mało. Mamy natomiast w tym jednym tylko zakładzie — jednym z kilku w województwie łódzkim — 230 wychowanków, którzy kradli, dokonywali włamań i rozbojów, obrabowywali kioski i mieszkania, podpalali, gwałcili.

Kim oni są? Gdzie tkwi rodowód zła? Dlaczego dzieci popełniają przestępstwa? Nienowocześnie pytania...

Nie rozmawiałam z nimi. 16-to czy 18-letni, a nawet 20-letni chłopcy jeszcze nie są przygotowani do określenia siebie, do rozmowy o motywach popełniania ciężkich wykroczeń. Wychowawczym zadaniem zakładu jest odkryć te motywy, wyeliminować z psychiki, wyprostować zlaną osobowość i wykształcić w kierunku powrotu do bezkolizyjnego życia. Benedyktynska praca zespołu wychowawców, niewymierny, nieokreślony trud, który w efekcie może przynieść sukces lub... klęskę. Bo tu trzeba kształtowi ludzkiemu dać treść człowieczeństwa.

Pochodzą ze środowisk miejskich, wiejskich, inteligentnych. To środowisko —

Dalszy ciąg na str. 5

# Andrzej Trzebiński i pokolenie wojenne

**P**RZED kilkoma miesiącami ukazał się tom krytycznie opracowanych utworów Andrzeja Trzebińskiego zawierający jego jedyny dramat „Aby podnieść różę” oraz utwory poetyckie. Wydawnictwo zapowiada jeszcze inny tom, w którym znajdziemy „Pamiętnik”, powieść i publicystykę tegoż autora. To będzie chyba wszystko, co ocalało po pisarzu i znakomita większość tego, co w ogóle napisał. Kim był Andrzej Trzebiński? Na to pytanie trzeba odpowiedzieć trochę po szkolnemu. Sylwetka pisarza bowiem nie była dotąd znana szerszemu ogółowi czytelników ani z utworów, ani z opracowań krytycznych.

Po uwięzieniu na Pawiaku zginął w listopadzie 1943 roku rozstrzelany przez Niemców za pracę w konspiracji. Miał wtedy 21 lat. Powinien więc być studentem drugiego lub trzeciego roku, gdyby historia była tak łaskawa. Wprawdzie po złożeniu w 1940 matury zapisał się na polonistykę i sławistykę (oczywiście były to studia tajne), ale jego życie w niczym nie przypominało beztrudnego materialnej i umysłowej, jaka jest udziałem większości dzisiejszych studentów. Pracował zarobkowo między innymi jako korepetytor, tracił na kole — tu w wolnych chwilach od pracy na bacznie zagłębiał się w poważne lektury. Pochłaniał Brzozowskiego i różnych filozofów, poezję międzywojenną, dzieła historyków i inne rzeczy. Pewne znaczenie dla rozwoju jego osobowości miała przyjaźń z Wacławem Bojarskim i Onu-

frym Kopczyńskim i w ogóle z całym środowiskiem „Sztuki i Narodu”, pisma grupującego wokół siebie najcenniejszą część ówczesnej młodzieży warszawskiej z roczników 1920—23. W ostatnich dwóch latach swojego życia odgrywał tutaj jedną z głównych ról. Po śmierci Bojarskiego obejmując prowadzenie pisma. W lipcu 1943 roku podejmuje się utworzenia organizacji zwanej Ruchem Kulturowym (na polecenie Jerzego Hagmajera), której założeniem było przebudować kulturę polską, wprowadzić do niej nowe wartości. Oto co Andrzej pisze w swoim „Pamiętniku” w tym okresie: „Stwarzanie wielkiej kultury kosztuje. Kultura rodzi się w bólu i bohaterstwie. (...) Po scenie, na której rozgrywa się kultura, rozrzucone są gwoździe i szkło rozbite. (...) To nie. Ja mogę cierpieć i nie powiem nigdy, że to jest kara za cokolwiek — to jest twardość stwarzania, to jest realizm w kulturze”.

Dziś jeszcze nie możemy w pełni ocenić jego spuścizny literackiej. Trzeba poczekać na „Pamiętnik”, powieść i publicystykę, w której określa bliżej swoje stanowisko ideowe i artystyczne. Ale o dramacie „Aby podnieść różę” już teraz z całą pewnością można twierdzić, że to pozycja pod każdym względem cenna. Dowiodła tego w znacznym stopniu warszawska prapremiera w teatrze „Ateneum”. Nazwano to wydarzeniem teatralnym dużej miary, wyrażając jednocześnie zdziwienie, że tak późno została ta sztuka odkryta. Zdaniem pewnego recenzenta powinna ona zdobyć sobie teatry

zagraniczne. Istotnie, nawet podczas lektury nie trudno dostrzec niepospolite walory artystyczne i propozycje intelektualne. Autor wykazał się tu zmysłem teatralnym, wyobraźnią sceniczną w wyniku czego nie mamy do czynienia li tylko z udratyzowanym poematem, lecz dziełem swoiście widowiskowym. Warstwa słowna została potraktowana jako jeden z elementów utworu bynajmniej nie autonomiczny. Dialogi toczą się podczas gry w tenisa stołowego i ta gra wypełnia i warunkuje zarazem całą akcję utworu. Staje się wreszcie integralnym składnikiem widowiska powiązaniem ścieżką znaczeń z treściami ideowymi. Realizatorom daje duże możliwości zastosowania środków mimiczno-ruchowych i zdyktowania przestrzeżeni. Wszystko przenika subtelną ironią, wszystko się tu odbywa na niby a jednak na serio. Trochę to przypomina Witkacego, czuć także echa dramaturgii społeczno-politycznej i historiozoficznej Zygmunta Krasińskiego. W każdym bądź razie mamy do czynienia z dziełem wszechstronnie przemyślanym. Problematyka utworu dotyczy rzeczy fundamentalnych: faszyzm, totalizm, demokracja, rola i sytuacja jednostki ludzkiej w tych systemach. O dużej samowiedzy teoretycznej dwudziestowiecznego autora w tej dziedzinie świadczy dołączony do utworu szkic pt. „Z laboratorium teatru”.

Wobec tego osiągnięcia dramaturgicznego błędnie wiersze Andrzeja Trzebińskiego, pozostające pod wyraznym wpływem Juliana Przybosi. Zły krótko, lecz niezwykle intensywnie. Jego twórczość zamyka się w okresie dwóch lat: 1942—43. Umysł otwarty, chłonny, rzeźby można płonący, nastawiony na rozwiązywanie największych problemów swojej epoki. Łączy twórczość artystyczną z praktyczną działalnością w sferze kultury. Chłopiec nieledwie w wieku Rimbaudskim! Ale nie zapominajmy, że

nie on jeden był takim fenomenem. Przypomnijmy niektóre jeszcze nazwiska kolegów w jego wieku, którzy współpracowali z nim lub pozostawali w bliższym kontakcie: Wacław Bojarski, Zdzisław Stroiński, Tadeusz Gajcy (redaktor „Sztuki i Narodu” po śmierci Trzebińskiego), Tadeusz Borowski, Krzysztof Baczyński, O niepokojach i dążeniach tych ludzi trzeba napisać trochę więcej.

„Pokolenie dramatyczne”, albo „pokolenie wojenne” to terminy uktę właśnie przez Andrzeja Trzebińskiego w artykule pod takim tytułem. Jakże treści kryły się pod tymi pojęciami? Jaki był stosunek tego pokolenia do bliższej i dalszej tradycji literackiej?

Liryka umarła w 1939 roku — twierdzi Trzebiński — dlatego, że „skończyła się w literaturze EPOKA SŁÓW”, że „musi się w niej zacząć EPOKA CZYNU”. Przez „lirykę” autor rozumiał tu nie tyle rodzaj, czy jakieś konkretne gatunki, co specyficzną postawę wobec świata wyrażającą się w kontemplacyjności, w usuwaniu się od gorącego strumienia zdarzeń historycznych w cień biernej zadumy i refleksji. Krytyka ta adresowana była do bezpośrednio poprzedzającego pokolenia międzywojennego, zwłaszcza do „Skamandra” i „Awangardy” (te ostatnią T. Gajcy obarcza grzechem „beznadziejnej ekwilibrystyki intelektualnej”). Nawet stosunkowo najbliżsi im poeci katastroficzni jak Miłosz, Sebilla, Czechowicz nie mogli znaleźć pełnego uznania. Nie do przyjęcia był ich kwityzm, czynienie z poezji łabędziego śpiewu. Artysta nowego pokolenia powinien nie tyle opisywać świat, lub wyrażać swoje stany psychiczne, co przede wszystkim świat zmieniać. Słowo musi wyzwać czyn a nie zwalniać od niego. Stary problem: antynomia słowa i czynu, wywodzący się ze starych kompleksów poetów i artystów. Pamiętajmy go przecież z „Hamleta”: „słowa, słowa, słowa...”. U podstaw rozumowania teore-

tyków tego pokolenia leżała nie myśl o absolutnym dualizmie tych kategorii, lecz przekonanie o ich jak najbliższym związku. Chodziło bowiem nie o odrzucanie słów (czyli sztuk), jak to ongiś uczynił nasz naczelny wieszcz romantyczny pod koniec swojego żywota, ale o uczynienie z nich narzędzia walki ze śmiercią duchową narodu. Sztuka miała być tą płaszczyzną istnienia narodowego, na której dokonuje się integracja wszystkich twórczych sił i wartości. Żywe było wówczas hasło z Norwidowego „Promethidiona”: „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej”. Poezja miała się stać ważnym elementem świadomości narodowej a także jedną z form istnienia narodu. Niezwykle silne przekonanie towarzyszyło młodym twórcom, że istnienie narodu przejawia się przede wszystkim w sferze kultury. Postawa aktywna i twórcza manifestowała się nie w hołubieniu wartości zastanych, lecz w tworzeniu nowych. Obcy był im lżawo-sentymentalny patriotyzm i obca postawa pesymistyczna. To było może najbardziej optymistyczne pokolenie, jakie wydał nasz naród w ostatnich kilku dziesięcioleciach, jeśli zważyć sytuację w której ów optymizm wzrastał. Kiedy naród poddany był biologicznemu i duchowemu wyniszczeniu, oni myśleli nie o tanich agitkach patriotycznych, ale o wielkiej sztuce, pogłębionej metafizycznie. Przewyciężenie antynomii: słowo-czyn upatrywali, by tak rzec, w nasycającym dynamizm działania samej struktury wiersza (dzieła sztuki). Miałby to być jak gdyby skonkretyzowany, albo, lepiej, uwieczniony w słowach sam czyn. Ludzie ci bowiem znali podstawowe dla sztuki prawo, że ostatecznie działa ona pięknem formalnym i nie myśleli o podzieleniu prawdy słów od potęgi ich artystycznego wyrazu. Idealnym rodzajem sztuki do zrealizowania tych marzeń mógł być oczywiście dramat. Tego też dowodził Andrzej Trzebiński, gdy po-

sfułował, aby „artysta szukał kompozycji walki, operowania masami sił, dystansu bezpośredniości, atmosfery metafizycznej grozy zdarzeń”. Rozumiemy teraz, dlaczego autor nazwał swoje pokolenie dramatycznym. Sny o dramacie spełniły się zresztą w konkretnych realizacjach pisarskich. Oprócz Trzebińskiego także Gajcy napisał sztukę teatralną o dużych walorach intelektualnych i artystycznych pt. „Homer i Orchidea”, a także Ewa Póhoska. Można by stwierdzić, że w pojęciu „pokolenie dramatyczne” połączono dwa znaczenia, jedno dotyczy sensu literackiego, drugie natomiast bliższe jest spraw życia.

Treścią dążeń tego pokolenia było odbudowanie kultury polskiej i narodu w imię szczytnych ideałów humanizmu. Akcentowano tak w życiu jak i w sztuce wartości uniwersalne. Z klimatu tego uniwersalizmu wyrasta nacechowana problematyką moralną i metafizyczną liryka Gajcego i Baczyńskiego, dramaty Gajcego i Trzebińskiego, a także twórczość pozostałych poetów.

Po wojnie przyklejono im etykiety nacjonalistów, zagradzając w ten sposób drogę do publikowania ich utworów. Sprawa ta wymagałaby może oddzielnego potraktowania, jakkolwiek by jednak było, jedno jest pewne, to mianowicie, że nie postawa polityczna predestynowała ich do zajęcia odpowiedniego miejsca w historii naszej kultury. Wiadomo także, że nie głosili gdzieś hasła wywyższających własny naród nad inne, owszem głosili moralną wyższość narodu nad jego klęską. Niektórzy chcieli także, aby to, co sprawiedliwe i dobre było silne i pragnęli Polskę silną.

\*) Andrzej Trzebiński, „Aby podnieść różę”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1970.

\*\*) A. Trzebiński — Pamiętnik; cyt. za Z. Jastrzębskim.

Zawszqd o wszystkim

Zawszqd o wszystkim

## Nokautować!

„TRIBUNE DE NATION” — PARYŻ

Wszystko wskazuje, iż Stany Zjednoczone znajdują się na granicy tak głębokiego kryzysu, że trudno by sobie wyobrazić większy. Kryzys dolara, czy deficyt amerykańskiego bilansu płatniczego — to tylko małe koniunkturalne problemy w porównaniu z przepaścią, która otwiera się przed USA po publikacji tajnych dokumentów Pentagonu, ujawniających prawdę o amerykańskich działaniach wojennych w Indochinach. Szczerze mówiąc, nikt nie przypuszczał, że sam system amerykański potwierdzi z taką siłą przekonania prawdziwość hasła, w którym przywódców USA nazywa się „podlegaczami do wojny”.

Widzimy, iż wielkie mocarstwo może świadomie zastawiać prowokacyjne pułapki, kiedy sila rodzi złudzenia, że człowiekowi wszystko wolno. Wszyscy pamiętają, jak po zabójstwie Johna Kennedy'ego administracja Johnsona zrobiła ostry zwrot do polityki „sily”. Te politykę prezydenta określa w tym czasie następująca instrukcja, skierowana do amerykańskiego namiestnika w Sajgonie, Cabot Lodge'a: „No-

kautować! Zwalczając wszelkimi środkami, gdzie się tylko nie pojawi, niegodziwą ideę neutralizacji Indochin”. A zatem plan zakreślał nie tylko walkę przeciwko ewentualnym wpływom komunistycznym, ale również i przede wszystkim, zabezpieczenie bezpośredniego panowania Amerykanów.

W każdym razie, jedno jest jasne, to mianowicie, że polityka Francji na przestrzeni ostatnich lat była w pełni usprawiedliwiona: I nasze wyjście z wojskowej organizacji Paktu Atlantycznego, i stanowisko zajęte w Phnom Penh, i stosunek do problemu bliskowschodniego. Co się tyczy tego ostatniego, to w ciągu kilku dni mogliśmy się dowiedzieć, i to bardzo dokładnie, iż prezydent Johnson zmonitował i tutaj się prowokacji, nie mniej gęstą, niż w Indochinach.

W świetle ujawnionych faktów, o których dowiadujemy się teraz, widać, że sojusz atlantyczny „utworzony wyłącznie w celu obrony”, może nieoczekiwanie wciągnąć jego członków w ścisłe zamaskowane działania agresywne, czyli — ina-

czej mówiąc — zagraża ich bezpieczeństwu. Nikt nie może przewidzieć, jakie nowe mętne koncepcje opracowuje obecnie Pentagon i Centralne Biuro Wywiadowcze, nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie nowe podstępne konflikty preparują sztaby „zielonych беретów” w swych tajnych obozach szkoleniowych.

Rzecz polega jednak na tym, iż Stany Zjednoczone nie mają środków na przeprowadzenie swych koncepcji politycznych. Świadczy o tym fakt, że już od szeregu lat zmuszają one kraje europejskie — z wyjątkiem Francji od roku 1958 — do popierania i finansowania tej polityki, na co po prostu tracą one środki i

podrywają swój prestiż. Kiedy mówimy, że Stanom Zjednoczonym brak środków na realizowanie ich zamierzeń politycznych, mamy na myśli zarówno środki materialne, jak i moralne, zarówno militarne, jak i finansowe i ekonomiczne. USA już od dawna wyciskają te środki przy pomocy precyzyjnie działającego systemu hegemonii, a ona dziś już ledwie złapie.

I tak oto, doszliśmy, jak można sądzić, do momentu zwrotnego w polityce światowej. Wcześniej lub później racje narodów powinny włączyć górą nad strategią interwencji, przyjętą przez kraje, mające na celu wyłączenie własne interesy.

## Tylko dla panów

„SUNDAY TIMES” — LONDYN

Większość pracujących Anglików w wieku 35-40 lat, ogólnie mówiąc, nie jest już „w formie”. Przyczyna: nieodpowiednia dieta i unikanie wysiłku fizycznego. Stwierdzono, iż mężczyźni po trzydziestce i już w tym wieku z nadwagą, są bardziej podatni na nadeśnienie i znacznie mniej odporni na choroby w wieku dojrzałym.

Odkrycie następuje nieoczekiwanie: oto któregoś dnia spotykasz starego znajomego, którego nie widziałeś kilka lat. Widzisz, że się zmienił i to na gorsze. Wyraźnie utył. Wieczorem oglądasz się w lustrze. Grubasem trudno by cię nazwać, ale z niepokojem dostrzegasz coś w rodzaju brzuszka... Rozkład dnia pracy (pre-

ważnie mało ruchliwy), szybko środki lokomocji (autobusy, taksówki, metro, własny samochód), siedzenie po kilka godzin przed telewizorem i to zaraz po kolacji — zrobiły swoje.

Co robić? Jak najszybciej schudnąć! Ludzie otyli są bardziej skłonni do chorób i umierają przedwcześnie. Kompanie ubezpieczeniowe bacznie obserwują te tendencje (żeby nie zbankrutować!) i publikują od czasu do czasu efekty swych badań. Wynika z nich, że śmiertelność wśród mężczyzn o wadze przekraczającej o 20 proc. wagę normalną — w dowolnej grupie wieku — jest o jedną trzecią wyższa, niż wśród mężczyzn o wadze średniej. Wniosek: czym prędzej wrócić do „normalnej kategorii wagi”. Przy określeniu nadwagi wychodzi się z założenia, iż średnia waga ludności danego kraju jest tzw. wagą „rodzinną”. Jednak wielu lekarzy uważa dziś, że waga „rodzinną” wielu społeczeństw jest nadmierna, a zatem i „średnia” jest zbyt duża.

Nadwaga — to prosta droga wiodąca do schorzeń układu sercowo-naczyniowego lub chorób płucnych. Włóż dietę. Ale pojęcie racjonalnego, zdrowego reżimu odżywiania wiążą ludzie z mnóstwem ograniczeń. Wielu, widząc już ponure perspektywy wyrzeczeń, woli pożyć nieco krócej, ale nie żałując sobie, niż dłużej z wieloma tabu. Ale to wszystko nieprawda. Wiadomo, iż mając nadwagę trzeba albo mniej jeść, albo zużywać więcej energii. Można schudnąć w ciągu roku lub zrzucić nadmiar tłuszczu „jednym rzutem”.

Kontrolerem jest waga. Jeśli w ciągu miesiąca przybyło ci pół kilograma, to znaczy, że twój organizm otrzymał o trzy tysiące kalorii za dużo, których nie zużył. Wynosi to około stu kalorii dziennie. A zatem z dziennego menu należy skreślić te, doprawdy minimalną ilość kalorii. Najprościej zacząć od spisu potraw i napojów, spożywanych każdego dnia, na przestrzeni tygodnia. Okazuje się, iż w zestawie tym figuruje kilka wysokokalorycznych potraw, których można się wyrzec bez żalu. Sto kalorii, to w przybliżeniu 4 kostki cukru, kromka białego chleba z masłem, talerz kaszy na mleku, talerz gotowanych ziemniaków, lub pół talerza podsmażanych, około 30 gramów gotowanego ryżu, 20 gramów czekolady, 30 gramów sera, jedno jajko, kubek mleka, kubek kefiru, kawalek szynki itd. itd.

Drugi sposób zrzućcia nadwagi — to ćwiczenia fizyczne: biegi, wiosłowanie, podnoszenie ciężarów. Zaleca się tutaj jednak daleko idącą ostrożność ze względu na ewentualne nadwężenie serca i uprzednią poradą lekarską jest konieczna.

Osoby bardzo zapracowane utrzymują, że aktywny odpoczynek zabiera im sporo czasu. Jest to jednak usprawiedliwienie bierności. Przecież nawet najbardziej zajęci ludzie mogą poświęcić niewielką część czasu choćby na powrót do domu pieszo. Chodzi tu o własny interes.

# Co za te miliardy?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

bluzek, wdzianek, sweterków itp. Wkrótce też oddane będą do użytku nowe zakłady przemysłu pasmanteryjnego „Lenta”, dające rocznie produkcję wartości 1 mld. 746 mln. zł, nowa przędzalnia czesankowa „Polanil”, która w poważnym stopniu zmniejszy dotkliwy niedosyt przędzy dla naszego dzwiernictwa.

Zacniemy za te miliardy budować w tym okresie zupełnie nowe fabryki — zakłady przedtekstury, które zatrudnią 3.200 osób i dadzą roczną produkcję wartości ponad 3 miliardy, fabryki poszukiwanych w kraju i na świecie typów dywanów „wilton” i „welur”, nowe zakłady przemysłu filcowego, odzieżowego, nowy kombinat dzianin obiciowych do mebli oparty o krajową elastę.

Co nam przyniosą wszystkie te zamierzenia produkcyjne? Z punktu widzenia gospodarki narodowej — bardzo wiele. Zastrzyk ogromnych środków finansowych sprawi, że w roku 1975 wartość produkcji całego łódzkiego przemysłu włókienniczego wzrośnie w stosunku do 1970 r. o 46 proc., co jest wielkością nie spotykaną, że ponad połowę wszystkich wyrobów stanowią już będą wyroby nowoczesne, produkowane przy użyciu postępowych metod i ze szlachetnych włókien chemicznych. Jednocześnie Łódź wzmocni swą pozycję jako centralny w kraju ośrodek dyspozycji naukowo-technicznej i badawczej w przemyśle włókienniczym kraju. Proces ten przyspieszy planowana w okresie do 1975 r. dalsza wydatna rozbudowa zaplecza naukowo-badawczego, na którą przeznaczona jest w resorcie kwota 1 mld. 129 mln. zł.

Warto też dodać, że efekty, które możemy i powinniśmy osiągnąć w 1975 r. będą skutkiem racjonalnego gospodarowania, gdyż wszystkie scharakteryzowane powyżej plany inwestycyjne oparte zostały o rachunek ekonomiczny. Dość wspomnieć, że środki przeznaczone na budowane bądź zamierzone obiekty przemysłu włókienniczego odznaczają się tzw. wysoką produktywnością, że więc inwestycje te są bardzo rentujące. Np. produktywność zakładów „Lenta” wyniesie aż 4,6, co oznacza, że wartość rocznej produkcji fabryki jest ponad 4 i pół raza wyższa od kosztów budowy. Produktywność „Olimpii II” wyniesie prawie 3... itd.

\* \* \*

W roku 1975 będziemy mieć jednocześnie o wiele lepszą sytuację w dziedzinie tzw. humanizacji miejsca pracy. Również po raz pierwszy w historii przemysłu włókienniczego sprawy ludzkie znalazły w programie jego rozwoju tak wnikliwe i szerokie odbicie. Przede wszystkim poprawi się sytuacja załóg w fabrykach najbardziej zaniedbanych pod względem warunków socjalno-bytowych. Na urzędzenia odpylające, transport wewnętrzny, poprawę bezpieczeństwa pracy, na obiekty socjal-

no-kulturalne i mieszkania dla najbardziej potrzebujących robotników, przeznaczony jest w omawianym okresie 832 mln. zł. Tysiącom kobiet włókienniczek przyjdą z pomocą w wychowywaniu dzieci nowe żłobki i przedszkola. Dzięki budowie nowych placówek służby zdrowia zmieni się na lepsze zdrowotna sytuacja załóg wielu fabryk, powstana nowe stołówki. Jomy kultury i ośrodki wypoczynkowe. W tej dziedzinie — zgodnie z programem — działalność rad zakładowych i administracji fabrycznych będzie kojarzona z wysiłkami rad narodowych, a wspólne inicjatywy fabryk w dziedzinie rozwoju bazy wza-sowo-wypoczynkowej sprawią, że fundusze poszczególnych zakładów zostaną lepiej, bardziej racjonalnie wykorzystane. Łatwiej już będzie o skierowanie na wrzasy niż dzisiaj — przybędzie bowiem kilka tysięcy nowych miejsc w Wiśniewie, Górze Tuszynie, Grotkach, nad morzem, nad jeziorami i w górach.

Obliczono, że dzięki tym wszystkim przeobrażeniom diametralnie zmieni się sytuacja około 60 tys. robotników. Biorąc pod uwagę ogólne zatrudnienie w przemyśle włókienniczym Łodzi (około 130 tys.) — będzie to rezultat notowany nie często w przeszłości. Ważne jest też, że w ciągu kilku lat mają zniknąć rażące dysproporcje w warunkach pracy różnych branż czy nawet różnych fabryk tej samej branży. Przewiduje się — jak to fachowo określa resort — „wygaszenie” działalności najbardziej zużytych technicznie obiektów przemysłowych o łącznej kubaturze 2 mln. m. sześć, co stanowi prawie 14 proc. całej kubatury produkcyjnej tego przemysłu.

Przewiduje się w ministerstwie, że na skutek „wygaszenia” będzie mogło zmienić pracę około 14 tys. osób. Rodzi to potrzebę — i to pilną — stworzenia dokładnego i przemyślanego programu przystosowania owych 14 tys. do nowych stanowisk pracy w innych zakładach włókienniczych, doszkolenia (bo to i nowa technika i nowe włókna), produkcyjnej adaptacji. Program ten winien być kompleksowy, angażujący zarówno zainteresowane administracje fabryczne, jak i wydział zatrudnienia, winien być konkretny i skuteczny. Bo to jedna ze spraw ludzkich, których nie sposób w naszych warunkach ustrojowych zepchnąć na żywioł.

pozytywnym i budzącym nadzieje momentem programu jest łączenie interesów fabryk i miasta. Po raz pierwszy chyba po wojnie, w tak wydatny sposób realizowane będzie współdziałanie przemysłu i prezydium rady narodowej w rozwoju gospodarki komunalnej. Poszczególnym fabrykom przyznano milionowe kwoty na udział w kosztach budowy oczyszczalni ścieków, stacji uzdatniania wody, budowy ulic i placów, nawet w centrum (np. „Obrońcy Pokoju”) — łącznie sama „bawelna” partycypować będzie w komunalnych inwestycjach miasta kwotą 130 mln. zł.

Na jednym z posiedzeń komisji partyjno-rządowej przedstawiciel Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, wysłuchawszy wystąpienia na temat potrzeb inwestycyjnych pewnego działu łódzkiej gospodarki, powiedział:

— Nie mówcie mi, ile potrzebujecie pieniędzy, mówcie o tym, co trzeba zrobić...

Oczywiście, pieniądze są ważne, ale najważniejszy jest program rzeczowy. I jego pełna realizacja. Teraz — gdy na Łódź spadają miliardy — istotnego znaczenia nabiera pojęcie „mobilizacji”. W przeszłości pod to pojęcie podkładaliśmy nieraz byle co. Na tle przeobrażeń, których będziemy świadkami, zmobilizować powinni się wszyscy uczestnicy procesu, aby przynajmniej środki można było wydać w terminie i skutecznie. Program modernizacji oznacza bowiem zwiększenie tempa pracy biur projektowych, służb inwestycyjnych, administracji przemysłowych, przedsiębiorstw budowlanych, inżynierów, techników, naukowców i samych załóg. Przedsiębiorstwa podległe MPL np. z ponad 5-miliardowego programu robót budowlano-montażowych będą w stanie zrealizować zadania jedynie za nieco więcej niż 1 miliard, reszta zadań — przeszło 4 miliardy — znaj-



Fot. E. Kudał

dzie się w portfelu innych wykonawców, w pionie resortu budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych. Niezbędne jest wyraźne zwiększenie ich mocy produkcyjnych, by przedsiębiorstwa te — obok napiętych zadań w budownictwie mieszkaniowym i komunalnym — mogły również podjąć i zamówieniu zleconemu przez przemysł włókienniczy. Bo za brak dostatecznej mobilizacji w urzeczywistnianiu ambitnego programu nikt i nic nas nie usprawiedliwi.

FELIKS BĄBOL

## »POLONICA«

### ZASŁUŻONE ODZNACZENIA

Krzyż Oficerski „Polonia Restituta” otrzymała 22 lipca br. pani Susanne Brzękowska, żona wybitnego poety, prozajki i teoretyka nowej poezji, Jana Brzękowskiego, zamieszkałego od 43 lat w Paryżu. Pani Susanne, wybitna plastyczka, ofiarowała przed kilku laty muzeum krakowskiemu zbiory sztuki nowoczesnej, olbrzymiej wartości, m. in. dzieła najslawniejszych malarzy. Przed wojną, jak wiadomo, Jan Brzękowski przyczynił się w dużej mierze do zdobycia obrazów dla Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi.

Warto przy okazji przypomnieć, że Brzękowski jest autorem bardzo ciekawej powieści, rozgrywającej się symultanicznie na dwóch planach czasowych i przestrzennych: w Krakowie w latach dwudziestych i w Paryżu pod koniec lat trzydziestych naszego stulecia. Brzękowski jest też autorem kilku tomów wierszy francuskich, m. in. poezji natchnionych ruchem „maquis”, w którym brał czynny udział.

Równocześnie odznaczony został Alan Kosko, poeta i tłumacz, działający przed wojną w Poznaniu, od 1939 roku zamieszkały w Paryżu. Przyczynił się do opublikowania wielu dzieł polskich w języku francuskim. Order „Polonia Restituta” dostał też Bronisław Horowicz, aktor i absolwent Wydziału Reżyserii Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie przed wojną, potem autor dzieła o nowoczesnych inscenizacjach operowych (wydanego po polsku i po francusku), inscenizator wielu polskich sztuk w radio fran-

cuskim (Szaniawskiego Witkiewicza i innych), a także audycji o Wyspiańskim, opracowanej i nadanej w stulecie śmierci naszego poety, zawierającej m. in. fragmenty „Warszawianki” w przekładzie Paul Czajki i „Akropolis”, granego w teatrze Grotowskiego.

### LITERATURA POLSKA W CZESKIM RADIO

Radio czechosłowackie nadało w ostatnich dniach lipca kilka audycji w oparciu o dzieła autorów polskich.

W dniu 20. VII nadano adaptację radiową „Pamiętki z Celulozy” I. Niewierlego w przekładzie Oldricha Rafaja. Redakcja poezji przygotowała program poświęcony K. I. Gałczyńskiemu i J. Ratajczakowi. Z prozaików na antenie czechosłowackiej pojawili się B. Prus, A. Strug, M. Dąbrowska, A. Kuśniewicz i T. Różewicz. Warto też odnotować, że jako powieść odcinkową nadaje się w Czechosłowacji „Rozstaje” Jerzego Putramenta.

(er)

### PENDERECKI W OPERZE WIEDENSKIEJ

Urządzący dyrektor Opery Wiedeńskiej prof. Rudolf Gamsjager przedstawił już projekt repertuaru kierowanej przez niego sceny na sezon 1972/1973. Obok wielu nowych inscenizacji oper Mozarta, Wagnera, Ryszarda Straussa, Verdiego przewiduje on wystawienie oper współczesnych m. in. Carla Orffa i Krzysztofa Pendereckiego. Operę tego ostatniego „Diabły z Loudun” zobaczą melomani Wiednia w ramach występów gościnnych Opery ze Stuttgartu.

(er)

## »POLONICA«

## WAKACYJNY KONKURS „ODGŁOSÓW”



Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrowek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów”. Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne człony konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych

II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych

III nagroda — 500 zł w bonach towarowych oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: Łódź, „Odgłosy”, ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny”.

### ZADANIE KONKURSOWE NR 6

„Z Głównej, Nawrotu i Przejazdu Strugami się w Piotrkowską wlewa Burzliwy za przewalem przewal, Zmierając ku Staremu Miastu; Ale się mało kto przepycha Pod Meisterhaus i pod Ulricha Bo stamtąd aż po barykadę W jedną się szczelną zbil gromadę Milczący tłum, przy głowie głowa Jakby głowami wybrukował...” — pisał Julian Tuwim. Kolejne zadanie konkursowe — podać tytuł utworu.

# Żniwa na mierzei

Wyżej, niżej. Szczyt, spadek. Fala jest krótka, złośliwa. Usiłuję przewidzieć przechyły i wybalansować się skutecznie na ten jeden króciutki rejs.

— To nic nie da przy takiej krótkiej fali — powiada Zdzisiek Bachur i dodaje nieco złośliwie — kiwa jachtem, co?

Śmieją się. Śmieje się także Tadek Ossowski, Kaszub z Kaszuba, a rybak z zamiłowania i z zawodu. Oba poznałem kilka lat temu i teraz przybyłem do Kątów Rybackich z cichą nadzieją, że opowiedzą mi o sobie i o swojej pracy. Od razu skierowano mnie do przystani. Z barometrem, mimo wspaniałej pogody, działy się dziwne rzeczy i załogi barkasów uwiły się przy sprzecie. Jutro, albo pojutrze mogło być za późno...

— Czas rybaka jest nienormowany — usprawiedliwiał się Zdzisiek. Płyni z nami, jeżeli musisz rozmawiać zaraz, albo poczekaj jeśli masz czas.

Jedyną chwilą wytchnienia w czasie sztormu — dodaje już na wodzie Tadek. — Z drugiej strony szkoda sprzętu. Jedna siatka styronowa siedem razy tysiąc metrów kosztuje pięćset złotych. Dmucha raz i nie ma co wyciągać, napcha patyków, porwie. W ciągu godziny można stracić kilkanaście tysięcy złotych...

— Na ładzie podobnie — mówię — jedno gradobicie...

Ale sztormy zdarzają się nieporównanie częściej — upiera się Zdzisiek. — Jeśli w dzienniku radiowym usłyszysz, że na Bałtyku sztorm, to znaczy, że jest to taki sztorm, który zagraża pełnomorskim statkom.

Idziemy ostrożnie. Od wiosny, aż do lodów część Zalewu przypomina las. Na ogromnych przestrzeniach sterczą z wody wysokie na kilka metrów tyczki — gigantyczna plantacja patyków. Biada jednak pływakowi, choćby i w żółtym czepku, który zapuściłby się na jej teren. Między tyczkami, pod powierzchnią wody, stoją naciągnięte siatki zwane także plotami. Zwykle od jednej tyczki odchodzą cztery ploty, zaś każdy z nich kończy się żakiem. Żak to workowata sieć bez dna naciągnięta na wiklinowy okrąg i zwięzająca się w kierunku ujścia. Owo ujście wchodzi daleko w rozpoczynający się wiklinowym okręgiem worek i tak przez kilka segmentów. Węgorz



ryba rozumna, płynie i trafia na plot. Płynie więc wzdłuż przeskody i trafia do żaka. W żaku podobnie płynie wzdłuż ściany, aż trafia do ostatniego zamkniętego segmentu. Droga powrotna ma odcięta właśnie przez owe zwięzające się ujścia, zwane jak na ironię, sercami. Tak łowi się węgorze.

— Węgorz jest rybą mądrą — mówi autorytatywnie Ossowski. Jego zdaniem przykładem debilizmu wśród ryb jest losos, ryba najdroższa i najgłupsza. Jeśli losos napotka siatkę, staje i stoi tak do końca swoich dni.

— Koniec plotów! — śpiewna komenda Zdziszka przerywa rozważania Ossowskiego.

Wchodzimy na otwarty Zalew. Za nami, kursem torowym, idzie druga łódź. Jej dziób wchodzi do kanału w nasz zanikający ślad.

Idziemy jak po sznurku, jesteśmy sobie niezbędni. Na rufie piętrzy się ułożony warstwami 300-metrowy niewód z mnóstwem kamiennych ciężarków. Do łowiska jeszcze kawałek.

— Jeżeli mamy rozmawiać, to teraz — powiada Tadek — potem nie będzie już ani chwili czasu, zresztą sam zobaczysz.

— O żakach, plotach i węgorzach już wiem — odpowiadam.

— Zima, zimą jest najgorzej, sztormy, zasypany śniegu, nawet kintu nie przyjeżdża. Woda atrakcyjna jest tylko latem...

Usiłuję coś odpowiedzieć, ale teraz nie ma już czasu. Ogromny żagiel o powierzchni siedemdziesięciu metrów przez moment łopocze beznadziejnie, po czym z szumem zsuwa się w dół. Żagiel się śmieje — mówi któryś.

— Trzymaj się nawietrznej — instruuje mnie Zdzisiek i dorzuca — pogadać to już sobie nie pogadamy.

— Dobra, potrzymam nawietrzna — mówię.

Zdzisiek przez chwilę przygląda mi się badawczo, czy aby nie kpię, po czym mówi krótko — nie laź na dziób. Ta masa płótina jest groźna. Niespodziewane chłaśnięcie żagla może zedrzeć skórę, a nawet wyrzucić za burtę.

— To złudzenie, że taki ciężki żagiel jest statyczny i powolny — włącza się Tadek. — A ratownictwo na Zalewie jest słabutkie. Kilka lat temu umarł na wodzie rybak. Umarł na serce. Wystrzelono 14 czerwonych rakiet. Nikt ich nie dostrzegł.

— A może brano je za inne rakiety?

— Na wodzie nie ma zabawy w iluminację — ucina Zdzisiek, tu rakietka oznacza zawsze potrzebę. Zielona — ostrzeżenie. Czerwona — niebezpieczeństwo i wezwanie o pomoc.

Przez chwilę stoimy w dryfie. Szybkość mamy niewielką, taką zaledwie, by nie stracić sterowności. Dopiero teraz pobujałoby solidnie, gdyby nie to, że stoimy rufą do fali. Pachnie wodorostami, smolą i żywicą. Drugi barkas potwarza nasz manewr i po chwili podchodzi z prawej burty, ciskamy nań rzutką. Odtąd nie ma czasu na rozmowę, jest praca. Oburącz, prawie na wysięgi, wyrzucamy do wody sieć, której jedno tylko skrzydło ma sto pięćdziesiąt metrów długości. Barkas współdziałający podnosi „kawałek” żagla i odpływa pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni. Coraz szybciej wyrzucamy sieć i po chwili mamy już dość.

Pogadać to sobie już nie pogadamy, za to zobaczysz żniwa na mierzei — mówi z wysiłkiem Zdzisiek. Wpatruje się uważnie w wodę, w miejsce skąd powinna się wynurzyć opatrzona pławkami napięta lina. Sieci na dnie łodzi jeszcze tylko kilka metrów i teraz wszystko dzieje się bez komend. Ster, żagiel w górę. Zwrot. Barkas w odległości trzystu metrów wykonuje podobne operacje i teraz płyniemy równolegle. Po dnie szurują ciężarki, a rozpięta między obu jednostkami sieć zgarnia wszystko co żywe i martwe. Te paraset metrów w kursie równoległym, to w czasie połowu jedyna chwila odpoczynku. Odległość między barkasami maleje i po chwili płyniemy prawie burta w burcie. Rozpięta do niedawna sieć wlecze się za nami niby długi worek. Refuj! Wybrać! Znowu, nieledwie na wysięgi, załogi obu jednostek rzucają się do sieci. Sieć jest mokra, ciężka i pełna, idzie to opornie. Po butach ściekają strugi wody. Hej raz! Hej raz! Nie ustawaj! Długo to trwa. Wreszcie wynurza się z wody wypełniony wrzący bąbel matni. Hej raz! Równo! Równo, psiakrew!

Oczy wychodzą z orbit, drgają napięte mięśnie barków. Matnia pełna ryb waży setki kilogramów, więc równo splywa tylko pot.

Brzegów nie widać, po widnokrąg błękitna rozfalowana woda. A przecież na oglądanej w bazie mapie morza, aż roło się od cyfr, znaczków, poziomów, napisów.

— Ciągnij! — komenderuje ktoś z sąsiedniego barkasu i dodaje — jeszcze tylko parę centymetrów. Drgająca lśniąca rzeka rozlewa się po dnie łodzi. I już lśniąca od potu ramiona czyszczą skrzydła sieci, porządkują ciężarki. Pusta matnia ponownie pogrąża się w wodzie. Pływa jeszcze, kiedy zmęczone załogi rzucają się do lin. Raz, dwa! Raz, dwa! Za każdym okrzykiem i tak już zmęczonych ludzi, ciężki żagiel pnie się w górę o kilkanaście centymetrów. Rozchodzimy się dwoma przeciwnymi hałsami i załogi znowu wypatrują w wodzie napiętej, upstrzonej pływakami liny. Nic już się tutaj nie zmieni. Praca jest trudna, wyczerpująca, jednostajna i żadnej egzotyki.

Znowu płyniemy równolegle, znowu ciągniemy sieć. Znowu zejście i znowu matnia pełna. Dzieje się do jedenastu rzutów na jeden polów — gigantyczna orka...!

Mijają godziny i wiatr przybiera na sile. Na szczęście barkas już prawie pełen. Czegóż tu nie ma, całe bogactwo zalewu, w tym jakieś ryby, nie znane mi nawet z nazwy. Zanurzenie mamy znaczne i łódź nie skacze już jak korek.

— Niebezpieczna fala przy takim zanurzeniu — powiada Tadek. — Kiedyś, a było to na morzu, wracała z połowu łódź przybrzeżna. Ryba też im wtedy „obrodziła” i wodę mieli prawie równo z burty. Na brzegu, jak zawsze, czekały rodziny. I nagle łódź zniknęła. Trwało to może trzy sekundy. Na brzegu podniósł się lament. Z Gdańska wyszedł wodolot, a z pełnego morza leciał wprost na brzeg ścigacz WOP. Obie jednostki zaalarmowano z wieży obserwacyjnej. Ścigacz szedł pięknie z rufą zanurzoną na dwa metry w wodnym dole. Obskoczył miejsce wypadku i poszedł w morze. Zdarzyło się to 300 metrów od brzegu i rybacy byli pierwsi, niemniej akcja wojska była błyskawiczna.

— W ogóle u nas mundur oznacza więcej niż w głębi kraju — mówi Zdzisiek — byłem w Katowicach, Łodzi, Warszawie, to wiem. Dla rybaka żołnierz WOP to sojusznik, przyjaciel, brat. Tym na wieży Spółdzielni kupiła radio, zresztą wojsko odważemnia się, strzeże sprzętu, nie pozwala wchodzić do łodzi.

Wciąż usiłuję dojrzeć brzeg, ale brzegu nie widać, zresztą i tak wiem co mógłbym zobaczyć. Na brzegach falują zielone plantacje eksportowej wikliny, za nimi zaś równie zielone zboża. Zielone, choć w całym kraju kładą się już ostatnie ciężkie pokłosy żyta i pszenicy.

KRZYSZTOF W. DĘBICKI

# Spojrzenie w głąb nocy

Piękności nocy portowego miasta. Reprezentują liczne zawody i grupy społeczne. Są wśród nich byłe nauczycielki, są studentki i matryzyski, którym naopowiadano kiedyś o wspaniałościach beztrojskiego życia i możliwościach poderwania męża z Zachodu; są także, i tych jest najwięcej, proste, ledwie umiejące czytać dziewczęta wiejskie. Te ostatnie przegnała nad morze najczystszej żądza poznania świata i bezmyślność rodziców, pragnących pozbyć się z gospodarstwa zbędny w nim gęby.

Profesja, którą uprawiają nie wynika z nędzy i niedostatku. Dawno mamy za sobą etap, kiedy zjawisko to wiązało się z ubóstwem i bezrobociem. Francja i NRF — kraje, które od lat cierpia na chroniczny brak własnej siły roboczej, notują coraz bujniejszy rozkwit

prostytycji. Zawsze bowiem w każdym ustroju można znaleźć kobiety szukające „lekkiego” i „atrakcyjnego” chleba.

Są i takie, które w tym zawodzie (traktowanym rzeczywiście, jako zawód) szukają jakiegoś rauszu, ersatzu przygody, której nie dostarczyło im życie.

Toteż i w Polsce nie w biedzie należy szukać źródeł nierządu...

Na niewielkim parkiecie kombinatu gastronomicznego o obcej i groźnej nazwie „Wiking” rytmicznie kołyszą się przytulone do siebie pary. Przy stolikach nad bułkami z „Eksportową” — krajem, które od lat cierpia na chroniczny brak własnej siły roboczej, notują coraz bujniejszy rozkwit

ku mody — ubrane w sukienki super-mini. Jakaś zniecierpliwiona brakiem okazywanego dla siebie zainteresowania blondynka szarpie raz po raz swego „przyjaciela”, aż ten zwala się wreszcie z hukiem na podłogę, ściągając przy okazji ze stołu całą zastawę. Jak spod ziemi zjawia się w lansadach usłużny kelner i razem z dziewczyną usadawia na krześle niefortunnego amatora polskiej wódki. Wie, że opłaci mu się ta drobna przysługa. Poprzez dźwięki orkiestry przebija gwar wielobojczynej mowy. Tu, nawet babcia kłozetowa nie zwraca się do swych klientów inaczniej, jak: you must pacy one złoty. Tu, liczy się tylko dewizowy obcokrajowiec. Tu byłym wystarczyć musi kartka na drzwiach wejściowych, głosząca często wbrew prawdzie, że „miejsce już nie ma”. Ale bo też i tubylec nie zapłaci za noc 10 czy 15 dolarów. Nie wciśnie portierowi do ręki czerwienca za wypuszczenie do tej giełdy, w której toczy się poważna aukcja. Tu kupuje się przecież „miłość”. Tu, sprzedaje się „miłość”.

Anita, Teresa, Ewa, Kamilla, Inga... To te, które uległy w swoim czasie mirażom wesolego i beztrojskiego życia

nocnego, oplacają się teraz portierom, wykidajłom i kelnerom, by mieć wstęp do Wikinga, Cristalu czy Akwarium. Inne zadowolili się muszą zadymionymi mordowianami, dworcowymi holami czy wręcz skwerem przed Hotelem Monopol. Bo taka jest w tym fachu prawidłowość, że wcześniej czy później kończy się karierę w miejscach, które każdy normalny człowiek omija z daleka. Z tych miejsc trafia się już tylko do przerażających swym brudem melin, w których pije się przedestylowany denaturat i w których honorarium za usługi stanowi przysłowiowy talerz zupy...

— Są — mówi kierowniczką sekcji, starszy sierżant Skwierawska, wskazując dwie siedzące w zadymionym lokalu kobiety.

Obie bywalczynie cuchnącej wódką knajpy są prawie kompletnie pijane i z trudem pokonują wysoki stół milicyjnej Nysy. Po krótkiej wymianie słów z zawiedzionymi partnerami przymusowo opuszczających restaurację „piękności” — ruszamy w kierunku niedalekiej meliny, gdzie zbierała się amatorzy taniej miłości i denaturatu. Zawodowa intuicja moich przewo-

dniczek z sekcji nie zawodzi i tym razem, gdyż w nieopisanie brudnym i zaniedbanym mieszkaniu zastajemy popijające w najlepsze towarzystwo, na które składa się gospodarz i dwie „panienki” w wieku około... 50 lat każda. Szczęrze oburzony niespodziewaną wizytą, pan domu obrzuca nas stekiem wymyślnych przekleństw, ale na widok umundurowanego funkcjonariusza uspokaja się i z gestem rezygnacji sięga po kubek z podejrzaną, jałkością alkoholem. Jest już dość późno. Odkładamy więc na kiedy indziej wizyty w pozostałych melinach i jedziemy do Nowego Portu, zatrzymując się przed rzęsiście oświetlonym Wikingiem.

— O, obyczajówka przyjechała — rozlega się w oblegającym zamknięte drzwi tłumku.

Kilka postaci znikła dyskretnie w mroku — wrócić dopiero po naszym odjeździe, my zaś wchodzimy na górę i rozglądamy się po załóżonej sali. Od stółków podnoszą się towarzyszące marynarzom dziewczyny i wyciągając z torebek zaświadczenia z przychodni ustawiają się przed nami w karną kolejkę. Ponieważ nie wszystkie posiadają aktualne „karty zdrowia” wnetrze naszy Nysy zapełnia się coraz bardziej. W drodze po-

wrotnej wpadamy jeszcze na moment do Cristalu, gdzie wszystko odbywa się w taki sam sposób, zatrzymujemy się przed dworcem, by zabrać kilka spacerujących tam stałych klientek sekcji i już bez większych sensacji, dowozimy całe towarzystwo do czynnej przez okrągłą dobę Wojewódzkiej Przychodni Wenerycznej.

Dwudziestoletnia Teresa. Nierząd uprawia od trzech lat. W międzyczasie zdążyła ukończyć szkołę średnią. Zna dobrze dwa języki. O sobie mówi chętnie. Bez skrępowania. Nie próbuje usprawiedliwiać swego postępowania, ani zлыми warunkami materialnymi, ani jakimiś specjalnymi okolicznościami.

— Zaczęło się od tego, że któregoś dnia, kiedy wracałam ze szkoły spotkałam na ulicy swoją dawno niewidzianą koleżankę. Poszłyśmy razem do Monopoli. Tam przysiedli się do nas jacyś zagraniczni marynarze. Elegancki lokal, miłe towarzystwo, alkohol, potem dancing — wszystko to zawróciło mi w głowie. Rano mój towarzysz wręczył mi 10 dolarów. Rodzice nie żalowali mi nigdy pieniędzy. Ale to przecież duża suma. Jakiś czas korzyst-

## (Dalszy ciąg ze str. 1)

rodziny i otaczające rodzinę jest dokładnie rozpoznane. To jest wstępny wywiad do karty chorobowej i diagnozy. Niepełna rodzina, a więc strata ojca lub matki i związana z tym pustka nie do wypełnienia, rodziny rozłączone awariami charakterologicznymi, rozbite nieprzygotowaniem do małżeństwa i wychowawczych funkcji potomstwa, rozbite wówczas, gdy do potomstwa patrzy na ojca i matkę nie skazaną jeszcze miłością, by nagle przeżyć gwałt zadany brutalnie pierwszym uczuciom. Rozwody, porzucenia, odejścia z tragediami rozgrywającymi się na oczach dzieci. Alkoholizm ojca i nęcza materialna i moralna z całym bagażem nienawiści i niechęci — do dzieci przede wszystkim... Dziesiątki wersji nieprawidłowości rodzinnej, kryminalnej, protestu wyraża się najpierw płaczem i rozpaczą, potem gestami społecznymi. Bierze się rewanż za krzywdy, za żal, który wywołuje widok kolegi idącego z rodzicami do kina, za słuchanie opowieści o czymś ojcu, który nadmuchał wielki balon... Pragnienie niszczenia porządku rodzi się, wyrasta, dojrzewa... i owocuje przestępstwem.

Ale są rodziny prawidłowe pozornie. I z tych rodzin są dzieci w Studzieńcu. Dlatego, że matka i ojciec miłujący się wzorowo nie pełnią dozoru nad dzieckiem, że zapatrzeni w wizję przelotnego dobrobytu uruchamiają wszystkie swe moce psychiczne w tym kierunku, nie dostrzegając swego syna cierpiącego na niedostatek uczuć w materialnym dobrobycie. I są rodziny spełniające wszystkie zachcianki dziecka w imię nieprawidłowego kształtu miłości rodzicielskiej.

Niecodziennym przykładem rywalizacji rodzicielskiej o zaspokojenie potrzeb syna jest A. B. Ojciec po stracie żony ożenił się powtórnie. „Nowa” matka nie chciała zasłużyć na miano macochy. Kochała dziecko, męża i zdobywała jego łaski najprymitywniejszym sposobem obdarowywania. I ojciec to robił, bez dania czegokolwiek w zamian. Kiedy w 15-tym roku życia A. B. zażądał motocykla — spotkał się z odmową — logicznie uzasadnioną. To był szok. Odmówiono mu po raz pierwszy od 10 lat spełnienia jego życzeń. Nagabywania i żądania raz po raz powtarzane nie przyniosły skutku. Wobec tego ukradł motocykl i jeździł nim przed komendą MO. Aż do ostatecznego efektu. Teraz uczy się wartościowania rzeczy zdobywanych pracą, uczy się wyrzeczeń i rozsądku. Będzie to długa nauka. Proces deprawacji przebiegł w warunkach uznania dziecka za osobę najważniejszą.

Wielu wychowanków pochodzi z rodzin chłopskich. To zaskoczenie. Zapracowana wieś, podejmowany od maleńkości przykład naśladowania pracowitości, egzemplifikowane od małego obowiązki pomagania w gospodarstwie i odpowiadania za określone czynności — to nasze wyobrażenie o surowym wychowaniu dzieci chłopskich, osmaganych pasem z ojcowskich portek. Nieprawda. To już mija. Cywilizacja przeobraziła nie tylko metody gospodarowania, ale odbiła się również na metodach wychowawczych. Młody chłopak wcześniej jest pasowany na dorosłego i on sam wcześniej się wy-

zwala spod rodzicielskich wpływów. Rosnąca zamożność wsi ma też udział w deprawacji. Stąd się bierze motocykl i pijana jazda i stąd określone i nieokreślone formy rywalizacji z rówieśnikami. Rywalizacja ta znajduje ekspozycje w krwawych bójkach i chuligańskich ekscesach. To są przestępstwa.

Generalnie rzecz biorąc — mamy do czynienia z patologią charakterologiczną. Ośrodek diagnostyczny dla młodzieży przy mowianej do zakładów poprawczych prowadzi szczegółowe badania każdej indywidualności. Wyniki tych badań dają dużo do myślenia. Nie mówiąc o tym, że są podstawą dla zindywidualizowania metod wychowawczych w ramach grupowania wychowanków. 75 proc. zbiorowości

nieletnich w Studzieńcu odbiega od normy psychicznej. Debilność i ociężałość umysłowa jest charakterystyczna dla większości. Zdecydowana też większość nie legitymuje się ukończeniem szkoły podstawowej. Zadanie przekazania minimum wiedzy ogólnej spoczywa na zakładzie. Przystosowanie zawodowe w ślusarstwie i stolarstwie oraz rolnictwie — również. 80-hektarowa baza upraw rolnych wraz z ogrodnictwem, hodowlą świń i krów — to majątek podpierający utrzymanie zakładu (mimo odrębnego rozrachunku) i teren szkoleniowy. Szkoła i praca — na tych dwóch elementach zasadzają się metody wychowawcze, wspomaganie sportem, radiem, telewizją. Ta ostatnia znajduje się w strefie nagród.

— A wyjazd do Warszawy 30-osobowej grupy wychowanków, którzy od wielu dni pracują przy odbudowie Zamku — nagroda to, panie dyrektorze, czy specjalne zadanie robocze?

— Próba — odpowiada dyrektor Studzieńca, Jan Domański — i jeden z etapów pracy wychowawczej. Chyba udana próba, bo oświadczone mi, że chłopcy stanowią wzorec dobrej, ofiarnej roboty. Odnosiła to nawet prasa warszawska. Ja odpowiaduję to jako obudzenie się ambicji, chęci uczestniczenia w życiu publicznym, może nawet będzie można mówić o uświadomieniu sobie przez nich potrzeby zadośćuczynienia, spłacenia długu społeczeństwu, odzyskania zaufania. A pracowali po dziewięć godzin dziennie, bo na śniadania i kolacje musieli zarobić. Zakład finansował tylko obiad. Muszę pani powiedzieć, że to są dobrzy chłopcy. Ich można wrócić społeczeństwu. Jeszcze jeden przykład: przez dwa tygodnie ośmiu chłopców jeździło do Nieborowa porządkować park i dobrze się spisali. Tu, w Studzieńcu, mamy sąsiedzką, 70-letnią staruszkę, gospodarującą na 10 hektarach. Jej pomagają nasi ochot-

nicy. Sprzątają siano, kopcują, zwożą...

„Najtrudniejszy problem, którego nie jesteśmy w stanie rozwiązać, to środowisko, do którego mają wrócić. Tu trzeba im wyrobić odporność na jego silne wpływy. Więź uczuciowa mocno łączy ich wszystkich ze swoimi środowiskami. Z najgorszym ojcem i najgorszą matką, przyjaciółmi, „kumplami”. Jak oni tęsknią za listami i odwiedzinami! I jak rozpaczają, kiedy nagle matka oświadcza, że nie weźmie chłopca na urlop, bo ma już określone plany własnego wypoczynku. Najczęściej rodziny inteligentkie proszą o przedłużenie pobytu syna w zakładzie, one zrywają z dziećmi kontakty, niszczą efekty pracy wychowawców, kopia przepaście między sobą a dziećmi. In-

wy przeważyły nad skutkami resocjalizacji.

Inny list: „...chciałbym podziękować całemu personelowi za trud, jaki włożyli, żebyśmy się czegoś nauczyli. Dzięki temu po wyjściu z zakładu dostałem się do stolarni. Zarobek mój wynosi 1600 zł, a więc to już jest coś. Proszę o przysłanie zaświadczenia, że uczyłem się stolarstwa, to zdam na papierze czeladnicze. Obiecano mi, oczywiście, wyższy zarobek. Nie żałuję swego pobytu w zakładzie, bo on właśnie wychował mnie na porządnego człowieka. Żałuję jednak, że w czasie pobytu w zakładzie poddałem się tańtuowaniu, co jest największą głupotą. Gdzie się nie rozbiorę, ludzie się krzywo patrzą, a każdy mówi: „chuligan, już gdzieś siedział”. Myślałem, że komuś za imponuje, owszem, zaimponowałem, ale milicji. Bo gdy się jest na basenie, to ludzie chowają przede mną ubrania, choć ja nie mam zamiaru kraść. Chciałbym, aby te moje spotkania na basenie były przestroga dla innych. Niech chłopcy w zakładzie zrozumieją, że tatuaż to po prostu, zguba”.

I jeszcze jeden list:

„...zdobyłem w tym zakładzie bardzo dużą pomoc, bo gdybym był na wolności w tym czasie, to na pewno bym tego nie miał, ponieważ bym może jeszcze więcej narozrabiał i nie znalazł się w Studzieńcu, a może gdzieś indziej, a teraz pracuję i zarabiam 2 i pół tysiąca złotych i jestem człowiekiem, nie tak jak

# ...I JESTEM CZŁOWIEKIEM

interes własnej wygody kruszy opokę, na którą opiera się wyobrażenie chłopca o powrocie do domu. Dom się wali. Zakład poprawczy nie jest jednak w stanie podjąć zadania pedagogizacji środowiska. A jest to rzeczą nieodzowną. Chłopcy ulegają wpływom. Dobrym i złym. Trzy lata pracy w zakładzie nad ustabilizowaniem młodego człowieka, to długi okres. Już zdaje się, że wszystko jest na dobrej drodze i nagle...

Czytam list byłego wychowanka. Prosi on dyrektora o przekazanie dawnym kolegom ostrzeżenia: „...dla tych, którzy świadomie i nieświadomie trafili lub chcą trafić na tę własną drogę, na drogę, z której bardzo ciężko zejść. Bo na pewno zdziwi to pana dyrektora, ale jako stary wychowanek tego zakładu, jestem zobowiązany napisać o tym, tym bardziej, że był pan przecież naszym przysłówiowym ojcem. Czekam na rozprawę i wyrok, a za co, mniejsza z tym, ot, po prostu brak silnej woli, wódka i lekkomyślność. Wyrok na pewno zabrzmi 5 lat albo więcej. A po co, na co, jest przecież tyle możliwości do normalnego ludzkiego życia. Na pewno będzie pan list czytał na apelu, jeżeli tak, to niech pan nie omieszcza powiedzieć, że pisał go również człowiek tak jak i oni (...) Tu za murem nie ma mocnych. Nawet pan nie zdaje sobie sprawy, jakbym zamienił jeden rok więzienia na trzy lata zakładu...”

Brak silnej woli, wódka, lekkomyślność. Teraz dopiero, po popełnieniu przestępstwa, ujawnia się zdolność ocenienia własnej postawy. Za późno. Powrót do środowiska okazał się zgubny. Złe wpły-



moi koledzy, którzy teraz włączają się z więzienia do więzienia”.

Takie listy świadczą o skutecznym wychowaniu w zakładzie poprawczym i są dodatkowymi argumentami w procesie resocjalizacji, w przekazywaniu młodym ludziom drogowyszkazów życiowych. W wyobrażeniu o przyszłym życiu, po skończeniu pobytu w Studzieńcu wkraça doświadczenie kolegi, który niedawno tu był, jadł i spał, uczył się i pracował razem. I patrzy się z więzienia! A tamten — ho, ho, papiery czeladnicze, dwa i pół tysiąca złotych. Porównania, dyskusje, postanowienia. Jeżeli zdolni będą utrwalić kapitał tu zebrany — są uratowani; I każdy z nich będzie mógł powiedzieć: JESTEM CZŁOWIEKIEM.

ZOFIA TARNOWSKA

lam jeszcze z mieszkania koleżanki, a potem wynajęłam pokój za dwa tysiące miesięcznie... Owszem, parę razy próbowałam z tym zerwać, ale to nie jest takie proste. Trudno odzwyczaić się od możliwości pozwalania sobie na wszystko, co dają pieniądze. Tak, robię to dla pieniędzy. Dają mi poczucie wyższości nad innymi, którzy cały miesiąc pracują za jedyne dwa tysiące złotych...

Dwudziestotrzyletnia Ewa. Dziewczyna o wyglądzie panienki z dobrego domu; drobna, szczupła, o milej trochę dziewczęcej buzi. Na Wybrzeże przyjechała kilka lat temu z Poznania po oblanie egzaminu do 11 klasy liceum ogólnokształcącego. Ma trzyletnie dziecko, które zaadoptowali jej rodzice. Ojciec dziewczyny parokrotnie przyjeżdżał do niej w celu nakłonienia córki do powrotu do domu. Za każdym razem jednak razem odmawiała. Kiedy pytam ją o powody, nie potrafi odpowiedzieć. Niedawno wyszła za mąż za marynarza z NRF. Osiągnęła więc szczyt tego, o czym marzą wszystkie niemal dziewczyny zajmujące się tym samym procederem. Rola mężatki usatysfakcjonowała ją jednakże na bardzo krótko. W kilka dni po ślubie wróciła na dawną drogę i dziś znowu

można ją spotkać w którymś z nocnych lokali.

— Nie umiem żyć inaczej — mówi, uśmiechając się skromnie, niczym pensjonarka przyłapaną na czytaniu w czasie lekcji niedozwolonej lektury. — Tak widać mam już charakter.

Dziewiętnastoletnia Anita z podelbłaskiej wsi zamierziała podjąć w Trójmieście jakąś pracę. Tak przynajmniej utrzymuje. Zamiast jednak zgłosić się do urzędu zatrudnienia, zaczęła szukać szczęścia na dworcu. W tej chwili wydaje się jej, że znalazła. Nie myśli o tym, i nie chce wierzyć w to, co z nią i większością jej koleżanek może się stać za parę lat. Parę lat niestannego picia, zarywania nocy i narażania się na choroby weneryczne. Nie myśli o tym zresztą żadna z młodych dziewczyn rozmawiających. Są przekonane, że zdążą wycofać się w odpowiednim momencie, kiedy będą już dysponowały odpowiednią ilością odłożonej gotówki. Niestety życie dysponuje aż nadto dużą liczbą przykładów, że tak nie jest. Te, którym się „udało” stanowią zdecydowaną mniejszość. Reszta, przed jej późniejszą trafia do różnych zakładów i przytułków, gdzie na koszt społeczeństwa węgetuje do końca życia.

— Z problemem prostytucji ściśle wiąże się problem chorób wenerycznych — mówi jeden z lekarzy Wojewódzkiej Przychodni Wenerycznej w Gdańsku, dr Józef Cubala. — Cóż z tego, że część prostytutek przychodzi do nas na badania sama. Cóż z tego, że milicja niemal co noc przywozi do przychodni te, które nie dbając o własne zdrowie zagrażają zdrowiu innych. Cóż z tego wreszcie, że istnieje przymus bezpłatnego zresztą leczenia, które w poważnym stopniu obciąża kosztami skarb państwa. Wszystko to nie zdaje egzaminu. Ileż to razy doprowadzona na leczenie prostytutka przerywa je już na drugi dzień, stając się ponownie źródłem zakażenia. A statystyka nasza jest alarmująca. Ilość zachorowań stale wzrasta i, co najsmutniejsze, obejmuje coraz więcej młodzieży. 60 proc. ogólnej liczby zarażonych w woj. gdańskim, to młodzież do lat 29. Co dziesiąty pacjent przychodzi nie ma jeszcze ukończonego 20 roku życia.

Spoleczeństwo domaga się od milicji likwidacji melin, częstszej kontroli lokali nocnych, rejestrowania i kierowania uprawiających nie-

rząd na przymusowe badania. Spoleczeństwo ma rację. Milicja czyni ze swej strony, co może. Pomimo obowiązującego u nas abolicjonizmu, pomimo paragrafu „zero”. Ba, pomimo taryfy ulgowej, jaka w wielu przypadkach staje się udziałem prostytutek.

Pijaka dowożonego do izby wytrzeźwień obciąża się kwotą w wysokości 30 zł. prostytutkę uprzączywie uchylającą się od leczenia — wozi się bezpłatnie.

Alkoholika przerywającego kurację odwykową umieszcza się w zamkniętym zakładzie. prostytutce która przestaje się leczyć, praktycznie niewiele można zrobić. Podobnych paradoksów jest więcej. I tylko konsekwentna ich likwidacja może się przyczynić do choćby częściowej likwidacji problemu. Szeroko dyskutuje się obecnie nad projektem ustawy o zwalczaniu pasożytnictwa społecznego. Miejmy przeto nadzieję, że stanie się ona skutecznym orężem również w walce z nierządem i towarzyszącymi mu zjawiskami. Dotąd brak bowiem niemal zupełnie środków prawnych, które osamotnionym funkcjonariuszom „obyczajówki” mogłyby przyjąć z pomocą w ich trudnej i niewdzięcznej pracy.

**PÓŁKA**  
**Książka**  
**Mi**

**DROBIAZGI**  
**POLI GOJAWICZYŃSKIEJ**

Autor wstępu do zbioru Poli Gojawiczyńskiej, Ryszard Matuszewski, napisał m. innymi: Lektura krótkich opowiadań, felietonów i obrazków, które gromadzi mniejsza książka, stanowi dopełnienie naszej wiedzy o dorobku Gojawiczyńskiej...

„Z serca do serca” obejmuje utwory, powstałe w latach 1916-1938 i drukowane w czasopiśmie. Wybór, opracowanie i przypisy — córki pisarki, Wandy Nadzinowej.

Pola Gojawiczyńska, autorka niezapomnianych

„Dziewcząt z Nowolipek”, również i tu, w tych drobiazgach, ujawnia cały swój talent. A więc przede wszystkim: zmysł obserwacyjny, ciepłe podejście do ludzi, prostotę i komunikatywność stylu. Są to obrazki z życia codziennego autorki i innych ludzi, ale także felietony literackie i teatralne, wśród tych ostatnich „Pół czarnej z Jaraczem” i „Krysia Jerzego Szaniawskiego”. Z tematów literackich ciekawym jest „Mój tydzień”, a także „Nagrody literackie”. Gojawiczyńska ma poczucie konkretności i chodzi po ziemi. W latach międzywojennych literatura wazyła mniej niż dzisiaj i dlatego nie dziwią następujące uwagi autorki: „Rajskiej jabłoni”: „Z literatury się nie żyje. Żyje się przy literaturze, poprzez literaturę, koło niej. Mnóstwo ludzi żyje z książki — ale sam twórca z tego wyżyć nie może”.

jk.

Pola Gojawiczyńska: „Z serca do serca”. Czytelnik, W-wa 1971.

# Trochę kaktusologii na sezon urlopowy

(Z okazji purenonsensowej audycji radiowej)

Rys. L. Woźnicki



Przedstawimy czytelnikom fragmenty nieco przekromnych „Ze wspomnień zaangażowanego schematysty” nie od rzeczy będzie przedstawić bardziej chochlikowatą audycję radiową „Hodujcie kaktusy”, napisaną w czasie uwertury do zbliżającego się tak zwanego schematyzmu i lakiernictwa wspólnie z pewnym pisarzem, którego przekąśliwie nazwalimy gogolowskim nazwiskiem „Iwana Iwanowicza — Iwana Nikiforowicza” (bohaterowie dużej humoreski autora „Martwych dusz”, komicznie gniewliwi). Ten pewien pisarz, to Jan Huszcza.

Audycję po przystrzyżeniu jej, więc zaadaptowaniu do druku, umieściliśmy na całej kolumnie w nie wychodzących już „Różgach” piśmie konkurującym w Łodzi ze „Szpilkami”. Konkurujemy o wiele skuteczniej i na wyższym poziomie niż taka na przykład „Mucha”, którą swego czasu zasilali swym humorem Bolesław Prus, po wojnie zaś redagowali różni ludzie. Dlatego „Różgi” konkurowały ze „Szpilkami” na wyższym poziomie, bo w „Różgach” pojawiały się niekiedy arcydzieła anglosaskiego humoru, sygnowane zawsze nie nikomu nie mówiącymi kryptonimami. Kto te utwory amerykańskie tłumaczył, do dziś nie wiem. „Szpilki” dopiero później, w czasach już trudnych dla nie bojowego humoru, zaczęły dawać koncerty śmiechu francuskiego, rosyjskiego, amerykańskiego, poświęcając mu specjalne numery. Do dziś pamiętam szyderczą, posępną nowelę amerykańską, którą powiedziałaby: groteskową, zamieszczoną w „Szpilkach”, redagowanych wtedy przez Eryka Lipińskiego już w Warszawie, a temacie widowska, jakie daje amerykańskiej publiczności umierający prawdziwie dla niej na podium boiska aktor Princip; oczywiście umierający za dolary. W dzisiejszych czasach takie makabryczne humoreski z seril tak zwanego czarnego humoru drukuje się na Zachodzie i przedrukowuje w prasie snobistycznej na kopy. Bret Harte zdaje się być ojcem tego rodzaju śmieszności. Ojcem, rzecz prosta, rodzaju, nie snobizmu i mody. Humoreska Marka Twaina „Dziwny sen”, o losie nie pogrzebanych należycie na cmentarzu amerykańskich nieboszczyków też da się zaliczyć do tego czarnego humoru, ale przyczyną jej powstania był humanitaryzm tego wielkiego pisarza, nie ciągłość ku smaczkarstwu. Humanitaryzm, jeśli pod ten ogólnik podciągnąć troszkę o grzebanie ojców, obronę ich ciał przed wpływami atmosferycznymi oraz amatorami zgnilizny.

Po tym nieco przyłdugim i przynudnym wstępie możemy podać tytuł tej purenonsensowej audycji radiowej

## HODUJCIE KAKTUSY!

z lewej strony sygnując nazwisko:

Zygmunt Fijas z prawej Jan Huszcza

Obaj bowiem byliśmy autorami tego cyrku satyryczno-rozrywkowego, napisanego dla odprężenia. Pisanego zaś na dwóch kolanach. Raz Huszcza na swoim własnym i moim, raz ja na jego kolanie i swoim. Mimo tego rozdziału ról, każdy z nas jest ojcem tego utworu, chociażby jakiś prawnik starał się podważyć pewność naszego ojcostwa, opierając się na rzymskiej zasadzie prawniczej: „tylko matka jest zawsze dogmatycznie pewną rodzicielką własnego dziecka, ojciec nie — mater semper certa est, pater non”.

Audycja w „Różgach” była ilustrowana rysunkami małżonki ówczesnego profesora Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, Mieczysława Piotrowskiego, później rektora tej uczelni. Rysunki jednak, nie wiem dlaczego, przypominają w połączonych plórkach i pędzelkach styl Piotrowskiego, nie jego ówczesnej małżonki, Reginy Kańskiej, też zdaje się wówczas profesorowej wyższej uczelni malarskiej.

Pod nazwiskami autorów i tytułem umieściliśmy słowo wprowadzające, w któ-

rym zwracałem się do ówczesnego redaktora „Różg”, „Ignasia Wojcika”, czyli Stanisława Stefańskiego, później redaktora „Głosu Robotniczego”, z kolei warszawskiego generalnego sekretarza Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Tak się zwracałem do Czytelników i owego satyryka, Stanisława Stefańskiego (nie mylić z dzisiejszym Stefanem Stefańskim z Estrady):

„Kochani Czytelnicy „Różg”. Ty, Ignasiu Wójcik, Panie, Panowie, Obywatele (iki)! Bardzo przepraszamy, jeśli cokolwiek urażiliśmy wysubtelniiony smak i powonięnie Powojennej Polski, wygłaszając przed mikrofonem Polskiego Radia coś, co nie powinno nazywać się „rozmową pomiędzy pisarzami gminnymi”, nie tykało tak ważnej sprawy wszechbytu i odytu, więc pokupności, powodzenia w sprzedaży tworzywa satyryczno-rozrywkowego, czyli literackiego towaru, nie poruszało „tragizmu pokolenia”, pisanego przez dużą literę, a było zwyczajnym tresowaniem głosek, seiganiem się nonsensów, czocharaniem języków. Jeśli więc zawniliśmy, nie miejcie nam tego za złe, posłuchajcie nas lub raczej nas posłuchajcie w najbliższym czasie, gdy przed tym samym mikrofonem będziemy mówić o tym, kiedy i jak należy kisić kapustę, kogo należałoby ukisić przed wyborami, kto i gdzie powinien dawno dostać się za kieszonkę, dlaczego nie należy kisić w miłości, biurze wagonów sypialnych”.

Ponieważ moje zwrócenie się do „Ignasia Wójcika” i czytelników przeciągało się, więc je urwałem, wymieniliśmy swe imię i nazwisko — i pod pozorem, że Huszcza pierwszy chrząknął, udzieliłem mu w „Różgach” głosu. Zapytałem go:

— Skończyłeś?  
Huszcza odpowiadał:  
— Reszta kończy w myśli, bo dalszy bieg wniosków nie nadaje się do mikrofonu.  
— Kończ więc po cichu, ja zaś powitam cię głośno. Bo jakże inaczej można cię powitać, autorze „Ballady o podróży”, przyczynno „Pamiętnika stajennego”, powódzie ostatnio wydanego konspiracyjnie tomu satyr „Lbem o ścianę”? Czy ostatni tom twych porachunków ze współczesnością trafił już pod strzechy za pośrednictwem śledzi?

Jan Huszcza, trzeba to dziś przyznać, był wtedy jeszcze sobą, nie stał się laureatem nagrody festiwalu poezji, nie pozwolił sobie powodować ludziami spod znaku divide et impera, albo raczej spod znaku tak zwanego Zergliederung, a więc dywersyjnej zasady skłócania z sobą ludzi o podobnym sposobie odczuwania przy pomocy tak zwanego opłuskwania, a więc płotek, można mu było żartobliwie nawet publicznie nakłasić (rąbnął mi więc pytanie).

H.: Miałeś mówić wesoło. Czy ten niewybredny twój żart o trafianiu kartek utworów literackich pod strzechy jako opakowanie dla śledzi jest wesoły?

Odpowiedziałem swemu radiowemu interlokutorowi tak:

— Wszystkim ludziom na tym najlepszym ze światów wolno mówić poważne głupstwa, tylko nam, tak zwanym humorystom, trzeba do wszystkiego podchodzić z uśmiechem. Napluje ci w twarz jakiś pętał, podstawią cię swe żabie rączki tam, gdzie konie kują, i jeśli temu młodemu cynikowi nie odpowiesz na to plunięcie uśmiechem, zapyta: „Pan, humorysta, a nie masz poczucia humoru?”. — Była Euryntia Klops czy Eugenia Faferko może być wobec świata obojętna magnetycznie lub elektrycznie, tylko tak zwany humorysta musi się kryć z własnym skrzętem kieszek, własnymi kamieniami wątrobowymi i wrzodami na dwunastnicy. On musi ciągle wesołym być. To zamówienie na beztróski śmiech do tego doprowadziło Włochów, że na przykład słynny ich żartowniś, przekupień moralów i szyderca, Pietro Aretino, autor wyuzdanej książeczki „Jak Nana swą córeczkę Pipę na kurtyzanie wykształcała”, w ich mniemaniu umarł ze śmiechu na widok swojej ukochanej cór-

ki. Nie mógł umrzeć na śmiech paralityczny, risus paralyticus, śmiech histeryczny, wywołany śmiercią drogiej osoby, zatem na szok nerwowy, jeno na trzeźwy śmiech cynicznego głupca.

H.: jako poeta-rymarz, powiedział łatwy rym do „fur da”, po czym zauważył, iż ta myśl o śmiechu, ani w mniejszy, ani w większy sposób nie wpłynęła na hodowlę kaktusa. „Lepiej przecież zastanawiać się nad tą kolczastą rośliną, która z takim wdziękiem służy za pożywie nie osiom i wielbłądom, niż głowić się na przykład nad brodawkami na piętach Aretina. Każde wżakże zagadnienie, w Polsce rozpatrywane, to prędzej lub później sprawa kaktusów”.

F.: Coś podobnego jak słoń i sprawa polska, sądzisz?

H.: Można by powiedzieć — Polska przed sprowadzeniem hipopotama do Łodzi i Polska po sprowadzeniu tego zwierzęcia do Łodzi... (Mowa o cudnej hipopotamicy Lusii, którą jeden z naszych milusińskich pozwał życia, dawszy jej polkąną swój balonik gumowy). (Przypadek objaśniający późniejszy. Z. F.)

Mój ówczesny interlokutor radiowy wygłaszał z kieszeni wewnętrznej marynarki kręciastą chustkę wielkości serwetki, wyśliznął w nią treść swego walterowsko-frenklowskiego nosa, zaśmiał się do siebie zamiast do mnie i kontynuował swój kaktusowy temat w ten oto sposób:

„Kaktus, reszta, lepiej dźwięczy niż Piotr Aretino. Bardziej satyrycznie i bardziej na temat, bo przynajmniej — kole... Przy tym o kaktusie można mówić w aspekcie dobrych obyczajów, zabagnionych stosunków w Zapadnikach, wydania nowego tygodnika Ziemi Rzeszowskiej, przedziałka na ondulowanej głowie panny Kuparnakiewicz, wyborów do rady gminnej w P. Czutkowie oraz trojaczków z końską głową, które pojawiły się w dziennikarskim sezonie ogórkowym na łamach „Echa Wieczornego”.

Zabrałem głos, zaśmiałem się jak chałpinowska dżdżownica (w pierwszym okresie kariery tego komika filmowego Charliego):

— Masz słuszność! Kaktus daje się oswoić, nie gryzie, nie pisze referatów, chodzi na smyczy, nie organizuje akademii okolicznościowych, nie gra na mandolinie, na zakrętach mówi „hop”, póki nie przeskoczy, cytując z pamięci i na każde żądanie i na wrywyki wybrane złote myśli Eugenia Faferko, Rudolfa i Anieli Jamezyków, Homera i innych...

H.: Dlatego — biorąc pod uwagę wszyst-

kie wymienione przez kolegę okoliczności, wszystkie „przekroje” z wyjątkiem krakowskiego, wszystkie perspektywy, zarzysy i aspekty — domagamy się szerszego niż dotąd uwzględniania kaktusów w naszej muzyce kameralnej. Domagamy się udziału kaktusów w naszym życiu poetyckim i esematologiczno-semantycznym. Stwierdzając, że nasza teatrologia tyle ma wspólnego z kaktusem, co guma arabska ze sionem — domagamy się kwadransu radiowego, poświęconego hodowli tej rośliny i protestujemy przeciwko marnotrawieniu tak cennego czasu przez ustawiczne nieproduktywne rozstawianie krzesel w rozgłośniach, przez ciągłe, nachalne jakanie się, przez rzekomo bezszelustne przewracanie kartek, jako też ciągłe te same występy sennej śpiewaczki koloraturowej Bożenki Mściwujewskiej”.

Jan Huszcza, dobywszy z teczek chusteczkę, tym razem wielką jak prześcieradło, zanurzył w nią twarz jak struś w piasek i dalej czerpał z zasobów swego wielomówstwa:

„Domagamy się także od Państwowej Stacji Higieny Doświadczałnej jak najrychlejszego skrzyżowania kaktusa z dorszem białym, fładrą śródziemnomorską i wołem malańskim — karbau. Uważamy, że już nadszedł ostateczny czas, aby nieodpowiedzialne czyny Konstantego Fiejki i pani Fiejkowej zostały odpowiednio nasświetlone przez nowoczesny komentarz. Należy wyjaśnić do czego używają kaktusów państwo Fiejkowie i jaki jest ich stosunek do realizmu! Domagamy się zatem i apelujemy do waszych serc, rodacy! Nie zaprzeczajcie tej jedynej okazji!... A więc od dzisiejszego dnia — w każdej polskiej doniczce jeden kaktus!”

F.: Doniczka z kaktusem w każdym polskim domu!

H.: Każdy dom z kaktusem i każdy dom z doniczką w każdym polskim miasteczku!

H.: Każde miasteczko z każdym domem, każdym kaktusem i każdą doniczką w każdym polskim powiecie!

F.: Każdy powiat z każdym kaktusem i każdą doniczką w każdym polskim województwie!

Mój interlokutor obwieszcza w „Różgach” rychło pojawienie się naszej pogadanki radiowej na rynku kosmetycznym jako bieldio oraz w kolekturach loterii państwowej jako znakomita lemoniada. „Kaktusy woła! — jako znakomity środek do prasowania królików, jako podstawowy materiał do wyrobu instrumentów dętych”.

— Ależ, Janie — zawolałem — miałeś przecież mówić o ludziach, o współczesnych nartach w humorystyce.

— Niewielka szkoda! — odpowiedział. — Każdy medal ma dwie strony. Kiedy indziej spróbujemy zobaczyć co ukrywa się po drugiej stronie medalu!

— Czy przypadkowo nie kaktus — rzekłem.

(Orkiestra radiowa, oklaski, panika histeryczna; ktoś korzystając z zamieszania rodzi piętnastoletnie dziecko.)

Posłowie:  
„Kochani Czytelnicy „Różg”, Ty, Ignasiu Wójcik, Panie, Panowie, Obywatele (iki)! W związku z naszą rezolucją wygłoszoną w eter za pośrednictwem mikrofonu Polskiego Radia otrzymaliśmy zbiorowy protest Łoży Wielkich Wazeliniarzy przeciwko nieuwzględnieniu ich osób w spisie właścicieli kaktusów. Ponieważ powyższy dialog wygłosiliśmy pod terrorem czasu, uzupełniamy nasz elaborat radiowy poprawką:

„Hodujcie kaktus jako smarowidło dla wazeliniarzy. Kaktus tylko dla lizusów i podlizywaczy! Niech żyje kaktus!”

Były to inne czasy. Ludzie wtedy nie byli rozpieszczeni ani przez telewizję, ani przez estrady, ani przez spotkania autor-skie. Niektórym słuchaczom nawet dopłacano za to, że słuchają radia. Jak płacono pewnemu pisarzowi, który po wyjściu z obozu koncentracyjnego stracił władzę w obu nogach, stał się inwalidą. Płacono mu za kontrolne słuchanie wszystkich audycji.

Ale też wtedy tacy działacze radiowi, jak poeta Tadeusz Łopalewski, działali. Nie puszczali do mikrofonów własnych utworów, tylko cudze.

## ZYGMUNT MARCZEWSKI

### Zamieszkanym przez ciszę dzień

Ta jabłoń zgodnie rodząca z dębina  
miejsce włożone z listków koniczyzny —  
czeka na Twoje rozłożenie ramion  
żeby owoce w chłodzie dojrzewały —

Wyrazy schnące przy płomieniu malin  
buduje cisza pod korą przyległa —  
w słojach profile których w Tobie czekam  
patrz — ile tęsknot żywicy wycieka —

Pełne jest słońce gdy dojrzewa w oczach  
Ty — w cienkich rżesach wino niesiesz ptakom  
dla mnie daleko tam — gdzie im za blisko —  
nad Twoją głową pijane kołują

Pełna jest ziemia Ty ją mi odkrywasz —  
za mało trawy — okryję strefami  
które pulsują gdy zbieram z Twej skroni  
nitkę pajęcą by jej włos nie zrywał

# Nie tylko „czyta się...”

Aleksander Baumgarten, Maciej Freudman, Tadeusz Hollender, Stanisław Rogowski — młodzi lwowscy poeci, których dobrze pamiętam jako czytelnik lewicowego dwutygodnika „Sygnały”. Wszystko to mniej więcej rocznik 1910.

A na Krecie będzie spokojnie,  
A na Krecie będzie po wojnie.

Miłość będzie, wino i śpiew —  
Będą chwiał się czubki drzew...

marzył w okupowanej Warszawie na krótko przed rozstrzelaniem Tadeusz Hollender, człowiek wybitnie obdarzony, który najszybciej zdobył sobie rozgłos jako satyryk i poeta. W przeci-

wieństwie do innych ówczesnych młodych — ci lwowianie swoich poetyckich fascynacji szukali przede wszystkim w twórczości Skamandrytów, Leśmiana.

Tragiczni ludzie! Z tej czwórki żyje i pisze jedynie Baumgarten — stateczny i obfity, przyprószony siwizną obywatel miasta Katowic, choć czynnych i utalentowanych lwowian w szerszym znaczeniu spotka się prawie wszędzie, także i w Łodzi.

Zaczął więc Baumgarten od poezji, ale w miarę lat prawie ją zarzucił. Mówię prawie, gdyż nigdy nie wiadomo. Jak dotąd jednak, jest on płodnym prozaikiem, autorem powieści i opowiadań o dużej różnorodności tematycznej, o różnych sposobach artystycznego scalania treści.

Nowy tom Aleksandra Baumgardena (**Cudze łóżce**, wyd. „Śląsk” — Katowice

1971) składa się z piętnastu dłuższych i krótszych opowiadań. Ich scenaria: okupacja, krajowa współczesność, Stany Zjednoczone.

Autorzy opowiadają, zwłaszcza Amerykanie lubią publicznie wyznawać, że dla nich opowiadanie, to nie innego, jak możliwość zrelacjonowania ciekawej historii. Nie należy takich wyznań brać dosłownie, trzeba je przyjmować cum grano salis. Gdyby było inaczej, wyślarczyłoby włączyć magnetofon w obecności rozmaitych ludzi, i potem poddawać taśmy „literackiemu opracowaniu”. U nas zapewne tym bardziej roi się od ludzi, których życiorysy aż się przelewają od „ciekawych historyjek”.

Mamy i w tomie Baumgardena parę takich historyjek: dłuższą satyryczno-amerykańską „Powrót Nike Paso”, humorystyczno-polską „Jesteśmy na plaży”.

Czyta się je z zacięciem, zwłaszcza pierwszą, ale po lekturze natychmiast przestają w nas istnieć. Nie one znaczą w tomie, chociaż czytelnikowi pozwalają miłe spędzić czas.

Więc nie one decydują, nie one wzbogacają duże niekiedy walory tego tomu. Baumgarten jest nie tylko dobrym obserwatorem, nie tylko służył mu umiejętności techniczne — w najlepszych utworach zmusza do refleksji, często gorzkiej i istotnej unikając jednocześnie publicystyki i moralizatorstwa. Wystarczy nazwać takie opowiadania jak „Gwóźdź”, „Psi czas”. Jest też pisarz dobrym psychologiem, udaje mu się dosyć sugestywnie przedstawić „kondycje ludzkie” — jak w „Irenie”, „Logicznie biorąc”, „Ten z prawej”. Szczególnie podobało mi się opowiadanie „Pana Nowaka głos w dyskusji”. Skupiają

w nim różne nasze kompleksy, dotyczące „młodych i starych”. Wszystko przedstawione z dyskrecją, zaprawione jednocześnie ironią i melancholią, co podkreślam, gdyż sama ironia, nobilitująca u nas wiele utworów, od dawna nuży, jest czymś szczególnie łatwym.

Posprzeczając się warto z autorem co do nadużywania „gwary środowiskowej”. Owszem, charakteryzuje ona występujące osoby, stopień ich umysłowości i wrażliwości, ale nie służy dobrze sprawie naszego i tak powszechnie maltretowanego języka. Wydaje się być wskazany większy umiar: ot, gdzieś uciec się do szczególnie mówiącego słowa czy zwrotu... Tym bardziej iż te „gwary środowiskowe” są dosyć płynne, nie mogą podlegać jakiegokolwiek kodyfikacji, więc ich autentyczność jest trudna do sprawdzenia.

# Etiuda o poezji



Spór o twórczość Andrieja Wozniesińskiego, zażarta polemika jego zwolenników i antagonistów, już od kilku lat absorbuje uwagę radzieckiej krytyki literackiej. Musi być w tej poezji coś nieprzeciętnego, jeśli w dyskusji angażują swój autorytet najszybciej krytycy, pisarze i uczeni (nawet fizycy).

Aleksander Michajłow, analizując istotę poezji Wozniesińskiego w książce „Andriej Wozniesiński. Etiudy”, zwraca uwagę na organiczny związek tej twórczości z elektryzującą energią walk ideowo-społecznych wieku XX, jak również na jej obrazową materię językową, związaną z frazeologią i bezlitośnie ostrą metaforyką mowy potocznej. Wiąż ta nie jest dziełem przypadku. Język potoczny bardziej żywo i głęboko reaguje na wszystkie wydarzenia życia społecznego niż język literatury, który najczęściej relatywizuje zjawiska społeczne eufemizmami i nadając im zbyt wiele imion, pozbawia się pierwotnej jednoznaczności słowa. Poezja Wozniesińskiego przekazuje tragiczne losy

sztuki w historii ludzkości. Podmiot liryczny boleśnie i z trudem akceptuje świat, który jest i który był, a jest to niemal fizyczny ból człowieka wdzierającego się w tajemnicę poznania każdy swoim słowem i metaforą. Wiersze są świadectwem odkrycia praw i praw życia, owocem ich zrozumienia. Bunt swój przeciwko kosztownej tradycji, przeciwko kanonizacji sztuki i limitowaniu jej tematyki poeta wyraził nie poprzez deklaracyjne manifesty, jak zrobił to E. Jewtuszenko i inni, lecz poprzez sam fakt istnienia swojej poezji, poprzez stworzenie poetyki odzwierciedlającej własne widzenie i rozumienie świata. Aleksander Michajłow porównuje Wozniesińskiego do Chlebnikowa i wczesnego Majakowskiego — najbardziej radykalnych nowatorów poezji rosyjskiej początku XX wieku. Kontynuację nowatorstwa Majakowskiego Michajłow upatruje nie tylko w języku, rytmach i metaforach Wozniesińskiego — forma wiersza u wielkich poetów nigdy nie była celem samym w sobie —

lecz w świeżości spojrzenia, w precyzji metafor, w niezwykłości asocjacji, w silnej dramatyzacji lirycznego „ja”.

Wymienieni poeci są różni w takim samym stopniu, w jakim różny jest czas i warunki ich pisarstwa. Michajłow wskazuje na jedną wspólną dla nich cechę — zaciekle ataki ze strony epigonów, nieuzasadnione negowanie całego ich dorobku poetyckiego. Spór o Majakowskiego trwał nawet po tragedii w Zaulku Gendrykowym. Klótnia o Wozniesińskiego osłabła chyba swoje apogeum. Michajłow, mówiąc o wspólnych pozycjach wyjątkowych poezji Chlebnikowa, Majakowskiego, Cwietajewej i Wozniesińskiego, podkreśla szczególność wypowiedzi tego ostatniego, zastrzegając zarazem, że pojmując jego twórczość jako kierunek współczesnego syntetycznego obrazowania i stylu poetyckiego. Zasługuje na uwagę fakt, że Wozniesiński nie uprawia tradycyjnego, fabularnego poematu, tak umiłowanego przez krytyków po dzień dzień. Czytelnik nie gorzej niż pisarz widzi zjawiska życia codziennego, w literaturze zaś szuka klucza do rozumienia świata, pragnie skonfrontowania własnych przemyśleń z cudzymi. Fabuła u Wozniesińskiego jest zdynamizowana licznymi dygresjami — liryczną spowiedzią poety. Dziwny poemat tworzy życie w psychice autora. Tego poematu nie da się zapisać. Każde wypowiedziane słowo będzie tylko dygresją od tematu. Dlatego pejzaż nocnego aeroportu w Nowym Jorku, w lunie neonów i blasku duraluminowych witraży poeta ukazuje jako autoportret, jako portret współczesnej cywilizacji, która tworzy życie duchowe człowieka, dramatyzując je rewolucją techniczną i tempem zmian. Jest to wiwiseksię samego siebie i oczywiście jako zasada twórcza nie jest nowa. Sztuka dawno już nauczyła się łączyć poznanie rzeczy i zjawisk z poznananiem samego siebie.

Ameryka Wozniesińskiego w tym kształcie, w jakim on ją odkrył, spotkała się z zastrzeżeniami u wielu krytyków. Nie było w niej klasy robotniczej USA i problemu ludności kolorowej, jak np. u Majakowskiego. Oczywiście zarzuty te są bezsensowne, gdy upodobania tematyczne są bezpośrednio związane z biografią autora, zależą od jego osobistej wrażliwości. W radzieckiej literaturze też nie wszyscy poeci traktują o klasie robotniczej swego kraju, o chłopstwie czy inteligencji i wspomnianie Wozniesińskiemu, że Majakowski widział Amerykę z innej strony, niczego tu nie dowodzi. „Majakowskimi w latach 20 latwiej było zauważyć społeczne aspekty amerykańskiej rzeczywistości niż Wozniesińskiemu w latach 60 — pisze krytyk Michajłow. — Majakowski sam przeżył rewolucję socjalistyczną; na własne oczy widział i na własnej skó-

rze odczuł walkę klas”. Ameryka Wozniesińskiego ma wiele fantastycznych twarzy i odgadnąć, która z nich jest prawdziwa, nie jest łatwo, bo przecież nie w apokaliptycznych wizjach hippiesów zawarta jest kwintesencja ducha Ameryki.

Aleksander Michajłow jest jednym z nielicznych, którzy akceptując twórczość Wozniesińskiego, świetnie ją zarazem interpretują. Można mieć tylko pretensje do Michajłowa o zbyt racjonalne odczytywanie obrazów poetyckich, o zbyt „logiczną” analizę utworów.

Książka A. Michajłowa o Wozniesińskim jest żarliwą polemiką z epigonami następującymi poetą za zerwanie z tradycjonalizmem. Na krętych drogach radykalnego nowatorstwa poetyckiego nigdy nie było zjawisk absolutnie bezspornych. Wejściu do literatury Chlebnikowa czy Majakowskiego równie towarzyszyła nieprzychylna wrzawa. Cieszy fakt, że twórczość Wozniesińskiego znalazła wśród współczesnych mądrego i dojrzałego sojusznika, że A. Michajłow pomoże „odkryć” Wozniesińskiego tym, którzy sięgną po jego wiersze, by poznać samych siebie.

## W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

- ★ WANDA KARCZEWSKA — Żegluga na jachcie „Zjawa”
- ★ RYSZARD BINKOWSKI — Spowiedź bez konfesjonału
- ★ KRZYSZTOF POGORZELEC — Horoskop oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

## Przeszłość i terażniejszość

Trwająca od kilku lat dyskusja nad stosunkiem Polaków do ich własnej tradycji i historii przybiera coraz nowe kształty. Ostatnio zaktualizowało ją głośno wystąpienie Wiesława Górnickiego na łamach „Życia Warszawy” (Nr 141) w sprawie „chocholów” i „chocholizmu”, które pociągnęło za sobą lawinę głosów polemicznych. Publicysta (obecnie) „Tygodnika Powszechnego” (w numerze z 4 lipca) Andrzej Kijowski jął w związku z tym poszukiwać źródeł naszego walkoństwa w swoistej „polskiej nerwicy”, ukształtowanej przez wadliwe, bo zapatrzone w przeszłość wychowanie społeczne. „Polska nerwica powstaje z nadmiaru ojczyźnej historii w wychowaniu, a z niedokształcenia w historii i kulturze powszechnej; stąd powstaje, że Polak od zarania życia nie przycza się oglądać i oceniać siebie wśród świata, na tle świata, w porównaniu ze światem. Polskie wychowanie jest ponadto polskocentryczne — co w skali charakteru prowadzi do egocentryzmu”. Wywołany

przez Górnickiego chochoł, symbol kwietyzmu i martwoty, zdaniem Kijowskiego „to czar przeszłości, to o-mamianie widmami historii”.

Dotychczas chętnie upatrywano w polskim zaprzęgnięciu się we własną przeszłość źródeł zgoda innych cech społecznych, a mianowicie ponoć istic polskiego bezrozsądku, samosierszczyzny i kozietulszczyzny, wszelkiej bohaterstwa, szabelki przeciw czołgom, stomanego ognia, nadmiernego trwonienia sił dla spraw i rzeczy zgoda zbytecznych i bezsensownych. Obecnie mamy coś dialektycznie przeciwnego: tradycję jako źródło społecznego pasywizmu. Spodziewać się jednak można, że reakcja „miarodajnej” opinii intelektualnej, tej rodem z warszawskiej kawiarni, będzie podobna jak niedgdyś: każdy, komu się ta nowa konstrukcja nie spodoba, będzie okrzyknięty konserwatystą i tradycjonalistą, urogiem dokonujących się przemian, jeżeli nie przeciwnikiem socjalizmu w ogóle. Dobrze, jeżeli nie zostanie wpisany

do jakiejś grupy politycznej...

Mimo to przeciwstawienie uczestnictwa w tradycji i kulturze narodowej, prowadzącego rzekomo do polskocentryzmu, a w odległej konsekwencji do społecznego pasywizmu, rodzącego się z konfrontacji ze światem rozwijającym się odmiennie

par force. Czy koniecznie Polak, by był w pełni Europejczykiem, dziedzicem i uczestnikiem wielkiej tradycji europejskiej, winien mał pować Francuza czy Anglika, być bardziej francuski niż paryżanin, bardziej angielski niż londyńczyk, bardziej rzymski?...? Ow kształt uniwersalizmu nie

Polakami. Ale przecież, jeżeli wejrzymy w mentalność najbardziej europejskich z europejskich narodów, w ich kulturę, łatwo dostrzeżemy, a nie trzeba do tego być historykiem ni socjologiem, że tam, gdzie indziej, uczestnictwo w kulturze i tradycji uniwersalnej dokonuje się na drodze innej, niż ta, którą zdają się lansować nasi rodzimi uniwersaliści. Francuz jest Europejczykiem nie przez to, że przestaje być Francuzem, że pozbywa się własnej tradycji i historii, ale przez to właśnie, że nim jest, że jest w niej wychowany i czuje się jej dziedzicem, współtwórcą. Podobnie Niemiec, Anglik czy Włoch. I nie jest dla nich problemem „nadmiar historii ojczyźnej w wychowaniu”, bowiem da je ona im sposobność odnalezienia siebie w historii powszechnej, w tradycji i kulturze ogólnoludzkiej. Boli ich na tę ostatnią każdy z nich spogląda mimo wszystko przez pryzmat własnego systemu wartości, którego nie odrzuca w imię uniwersalizmu, lecz który właśnie dlatego kulturuje.

Ważkim, wiążącym się z tym zagadnieniem jest kształt uprawianej naukowo i upowszechnianej, czy to w

procesie nauczania, czy w publicystyce, historii ojczyźnej. Zbyt często bywa ona u nas wąsko partykularna, zaściankowa, zbyt rzadko jest historią rozumiejącą zjawiska i procesy dziejowe w szerszych uwarunkowaniach i związkach. Nie chodzi tylko o to, czy i ile naucać historii ojczyźnej, ale przede wszystkim o to, jak to czynić, jak — nie tylko w rozumieniu sposobów jej przekazywania, lecz również sposobów jej rozumienia. Integralne, szerokie spojrzenie na każdą historię narodową, także i na polską, zawierając w sobie musi element porównawczy, skoro pokazuje dziejowe losy danego narodu w powiązaniu z dziejami innych narodów, nie tylko ościennych. Historia rozumiejąca nie może się obyć bez ocen, a te, jeżeli mają być naukowo uzasadnione i nie wyrażać czyjś widzimisie, są niemożliwe bez pogłębionego rozumowania porównawczego. I w tym sensie nie ma żadnej sprzeczności między historią ojczyźną, a historią uniwersalną, która tak zdaje się niepokoić niektórych publicystów.

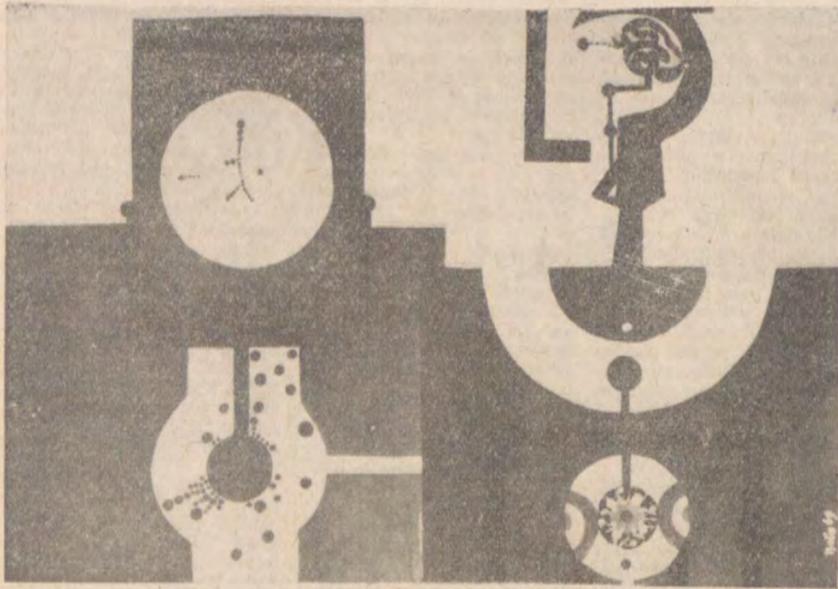
JÓZEF GRZELAK

## UNIWERSALIZM

## A HISTORIA NARODOWA

i nieraz szybciej, uczestnictwu w tradycji i kulturze uniwersalnej tak, jakgdyby były to układy wzajemnie się wykluczające, budzi sporno wątpliwości. Konsekwencją takiego stanowiska byłoby lansowanie ponadnarodowego i pozanarodowego uniwersalizmu, co w praktyce wiodłoby do imperatywu naśladownictwa obcych

jest bynajmniej wynalazkiem naszych czasów, znamy go co najmniej od Oświecenia, by przypomnieć kosmopolityzm feudalnych elit tej epoki; reaktualizuje się on tylko dzisiaj w odmiennej sytuacji dziejowej. Taka recepta na pozbycie się „polskiej nerwicy” wyraża dzisiaj odmiennie niż dawniej kompleksy... bycia



Samardžić Dobrivoje-Bobo. Mechanizm myślenia

Dziewiętnastowieczny typ salonu wystawowego stracił nieodwołalnie rację bytu. Z wielu względów. Inna publiczność, inna sztuka. Wystawy malarstwa były miejscem spotkań towarzyskich, jak były takimi miejscami opera, kawiarnia, ogród botaniczny czy Pola Elizejskie, gdzie do dobrego tonu należało pokazywanie się w określonych godzinach, w stosownym towarzystwie. Przy okazji oglądało się obrazy. Przy okazji kupowało się obrazy. Wieszano się je w gabinecie, w jadalnym lub sypialnym. Żyło z nimi. W miarę upływu lat — wśród nich. Szlachetny snobizm, który także często przerażał się w prawdziwe umiowanie sztuki.

A i sztuka dzisiejsza nie najlepiej czuje się na „normalnej” wystawie. Wymaga odpowiedniej oprawy, często specjalnego wnętrza lub pleneru, wymaga maszyny eksponującej. Samo powieszenie obrazów na ścianach nie wystarcza. Konsumpcja sztuki odbywa się w pośpiechu (niemala w tym „zasługa” samej sztuki). Widz chce wiedzieć natychmiast, co ogląda i jak ma oglądać to, co ogląda. Chce znać stanowisko, jakie ma wobec danego dzieła czy zestawu dzieł zająć. Obecna publiczność wszelkich wystaw dzieli się na wernisażową i przypadkową. Ta mała garstka, która krąży po wystawach wedle własnej busoli — to nieliczne białe kruki, których

nie ujmują statystyki, bo są zbyt nieliczni. Albo, co uczciwi recenzenci, Wernisażowicze to wta'emmniczeni plus rodzina. Przypadkowi to ci, którym przy-

ANDRZEJ GRUN

## POKAZYWANIE SZTUKI

kazano w szkole pójść na wystawę, którym zaplanowano zwiedzanie jakiejś wystawy czy muzeum w harmonogramie wycieczki turystycznej lub kurso-konferencji. Poza tym czego innego oczekują się dziś od sztuki, niż oczekiwało się od negdaj. Inny też jest stosunek artysty do odbiorcy.

Problem, jak sztukę pokazywać, upowszechniać, wreszcie sprzedawać, jest trudny. Zaprzata umysły muzealistów, teoretyków, krytyków, socjologów, marszandów, specjalistów od reklamy i turystyki. Włączono od dawna imprezy z

gatunku Biennale Weneckiego czy Biennale w Sao Paulo do turystycznego rozkładu jazdy na równi z tańcem Maorysów i Zatoką Neapolitańską. W Stanach Zjednoczonych, wzdłuż jednej z autostrad, na której jeździ się z przeciętną szybkością 120 km na godzinę, poustawiano obrazy (odpowiednio zabezpieczone). Jadąc, można sobie to i owo wybrać. Kupuje się w stacjach benzynowych lub motelach. Czy tak będą wyglądały galerie sztuki w przyszłości? Pytanie dość głupie, ale wiele pytań wydało się kiedyś głupimi.

Jeszcze jeden czynnik bardzo komplikuje problem „pokazywania” sztuki — szalony wzrost jej produkcji i poszerzenie asortymentu dzieł uznanych za dzieła sztuki lub propozycje artystyczne. Od rysunku ołówkiem, poprzez hapening i sztukę koncepcyjną po wytwory sztuki użytkowej. Każdy, kto może, pcha się na wystawę.

Powyższe między innymi powody wpływają na wzrastającą specjalizację. Muzea „specjalizują się” ukierunkowując swoje zbiory: Sztuka nowoczesna, sztuka okręgu beskidzkiego, sztuka południowej Francji, portret sarmacki, pejzaż morski itd. Poszczególne miasta i galerie też wybierają tą drogę — Warszawa ma Międzynarodowe Biennale Plakatu, Katowice — Biennale Plakatu Rodzimego, Wrocław ma rysunek, Lozanna — grafikę, Łódź chce mieć Biennale lub Trie-

tematyczne i problemowe i najróżniejsze imprezy towarzyszące.

Różnie te kolekcje, wystawy i plenery wychodzą — raz gorzej, raz lepiej. Za jedną z bardziej udanych tego typu imprez, udanych na razie w sensie pomyślnym, są szczecińskie Prezentacje, w tym roku już czwarte z kolei. Koncepcja pokazania malarstwa krajów socjalistycznych — rzecz frapująca. Tylko od razu, bez owijania w bawełnę powiedzmy sobie, kiedy ma rację bytu i powodzenia. Wtedy, kiedy będzie to prezentacja nie propagandy lecz sztuki. Sztuki zaangażowanej, bo czymś się twórczość w krajach socjalistycznych różnić musi (a może nie musi?) — warto to kiedyś wreszcie sprawdzić od twórczości w krajach innych — zgoda, ale sztuki przez duże „S”. Ekspozycja agitacyjnych gazetek w rodzaju malarstwa artystów z NRD nie przyniesie żadnych efektów. Mielibyśmy socrealizm swój własny, po co nam socrealizm cudzy, żeby to jeszcze meksykańską chociaż. Organizatorzy szczecińskich Prezentacji winni dołożyć wszelkich starań, aby pokazywać rzeczy najlepsze, tym bardziej, że na bazie tychże Prezentacji powstaje w Muzeum Narodowym miasta Szczecina galeria malarstwa krajów socjalistycznych. Nieraz obrazy ze ścian szły do piwnic, na karmę dla szczurów. O profilu prezentacji decydować muszą artyści i publiczność, a nie urzędnicy. Urzędnicy w ogóle nie powinni wtrącać się do spraw kultury. Powinni umieć pisać na maszynie i mieć zaufanie do ludzi, którzy się na kulturze znają i kulturę robią, no i oczywiście powinni mieć pieniądze. Prosty podział kompetencji. No, ale ja tu sobie, zdając się, marzę, a chodzi przecież o fakty.

Dzięki kontaktom osobistym i przyjaźniom Prezentacje doszły do skutku. Jak często u nas, na początku była partyzantka (albo chalupnictwo — jak kto woli), obecnie impreza ta włączona jest w plan imprez międzynarodowych Ministerstwa Kultury i Sztuki i uzyskała odpowiednią oprawę, do czego przyczyniły się wcale również władze miasta — młodego i ambitnego i środowiska plastyczne i literackie. Wystawę uzupełnił międzynarodowy plener, na którym znów nawiązały się przyjaźnie i znajomości. Powstaje klimat. Takie klimaty uczulone są na biurokrację i pryncypialność. Przy zetknięciu z nimi więdną jak kwiaty bez wody.

Polscy artyści sprawili, że tegoroczna Prezentacja była ciekawa i kontrowersyjna. Następne muszą być jednak o wiele ciekawsze, muszą stwarzać plaszczyzny i preteksty do dyskusji. Różnorodność formy, a jedność treści — takie motto zaryzykowałbym na przyszłość.



KSIĄŻKA O SZWECJI I SZWEDACH

Kto lubi podróże do innych krajów, może — nie ruszając się z miejsca — odbyć interesującą wyprawę do Szwecji pod przewodnictwem Witolda No-

wickiego, autora książki „Szwedzi — polityka, obyczaje”. Napisał tę książkę dziennikarz, który długie lata przebywał w różnych miastach Szwecji, obserwując z bliska życie tego kraju. Nas, Polaków, książka Nowickiego może zainteresować bardziej niż innych. W przeszłości prowadziliśmy wojny ze Szwedami, od niedawna, w wyniku stałego połączenia promowego między Szwecją a Ystad, żyjemy niejako po sąsiedzku. Jaki to kraj Szwecja, jakcy są Szwedzi, jakie jest życie w tym kraju — o tym wszystkim i o wielu innych rzeczach dowiemy się z książki Witolda

Nowickiego. Szwecja, która uchodzi dziś za najbogatszy kraj w Europie o najwyższej stopie życiowej, jest zarazem krajem szokujących przemian obyczajowych, które znajdują swoje odbicie w sztuce, zwłaszcza filmowej. Szwecja jest czwartym, po Szwajcarii, Austrii i Finlandii, neutralnym państwem w Europie. Czym Szwecja różni się od innych krajów, a w czym jest do nich podobna — odpowiada na te pytania W. Nowicki w swej książce.

Polecamy ją tym, którzy wybierają się do Szwecji i tym, którzy pozostaną w domu. I jednym i dru-

gich z pewnością zacieka- wi. Jk.

\*) Witold Nowicki: „Szwecja — polityka, obyczaje”.

### KOPENHASKIE ABC

Niewiele było ksiązek o Danii, niewiele wiemy o tym kraju i narodzie, choć graniczy z nami prawie przez międzę. Lukę tę wypełnia interesująca książka Ernesta Skalskiego, wydana w popularnej serii ABC. \*)

Znalazło się w publikacji Skalskiego miejsce na historię tego archipelagu Hamleta i Andersena, wspaniałe czesne problemy polityczne i obyczajowe, na informa-

cje o duńskiej Polonii, o handlu i komunikacji...

Nie bez znaczenia jest również fakt, że „Kopenhaskie ABC” napisane jest ciekawie i zajmująco, że autor znalazł miejsce na ciekawostki i anegdoty. Oprócz багаżu wiedzy podstawowej (historia, polityka, gospodarka) wiele tu rozważań i informacji choćby o uciekach stołu, o prócz багаżu wiedzy podstawowej (historia, polityka, gospodarka) wiele tu rozważań i informacji choćby o uciekach stołu, o

oczywiście cały rozdział poświęcono „Tivoli” — katorze, diabelskie młyny, bezcki śmiechu, krzywe zwierciadła, jaskinie grozy, w których elektryczne du-

chy łapią nieomal za włosy przejeżdżających wózkami gości... Ale wszak jesteśmy w Danii, więc „w jednym z pawiloników sterczy coś, jakby kawałek lornetki. Pochodzi się do tego, przykłada oczy, wrzuca ówierc korony i ogląda króciutki pornograficzny filmik”.

Rzecz prosta i o „tych rzeczach” traktuje książka Skalskiego. Ale podstawowa atrakcja kolejnej pozycji ABC to багаż informacji — różnorodnej, ciekawej, dobrze podanej.

J. W.  
\*) Ernest Skalski, „Kopenhaskie ABC”, Wyd. Iskry, 1971 cena 25 zł.

ALFRED POLGAR

## Samotność

Samotność Tobiasza Klemma, tak — to była wielka samotność!

Żył w tym mieście wśród dwóch milionów ludzi, ale między nim a nimi nie istniała żadna więź, tak że nie mógł ich sobie wyobrazić jako sumy pojedynczych istot, lecz tylko jako bezkształtną masę, tkwiącą w obrzynie mgie oddechów i wyziewów. Był pisarzem w małym urzędzie, pogardzał w skrytości ducha swoimi kolegami, ale i oni nie zwracali na niego żadnej uwagi. Miało kto z nim rozmawiać. Mieszkał u starej kobiety, która żyła z przepierek. W

jego smutnym pokoju stały meble. I one były mu obecne. Gdy zaskrzypiało pod nim łóżko, odczuwał to jako coś wrogiego. Wieczorna świeca paliła się niechętnie, jak gdyby złościąc się, że musi mu służyć. Lustro naumyślnie oslepiło, by niezbyt wyraźnie widzieć twarz Klemma.

Miał prawie pięćdziesiątkę. Od lat dwudziestu żył bez przyjaciela, bez żony. Nie obchodził nikogo. Kiedyś wzywano go do sądu jako świadka wypadku tramwajowego. Długo jeszcze wspominał ten dzień. Sędzia pytał go, jak się nazywa i gdzie

mieszka i kiedy się urodził, słowem — w dniu tym jego istnienie miało jakieś znaczenie. W gospodzie, gdzie stółował się od dwudziestu lat, był nikim. Nikt nie przysiadł się do niego, żaden kelner nie ubiegał się o jego poufalskość. Tkwił w tym swoim kącie, jak pajęczyna, która ongiś razem z Klemmem tam przywędrowała, szara plama z odrobina życia pośrodku, coś, co tylko dlatego trwało, że otaczający świat był za leniwy, czy za obojętny, aby to usunąć.

Pewnego dnia Klemm przeczytał w gazecie, że żona inżyniera Robinsona zastrzeliła się. Robinson był szkolnym kolegą Klemma. Klemm daremnie ubiegał się o jego uczucia. Lecz kiedy później zanosiło się na coś w rodzaju przyjaźni, weszła między nich pani Maria i zabrała przyjaciela dla siebie. W nocy po wiadomości o samobójstwie Klemmowi śniły się przesądliwe rzeczy. Widział siebie jako przyczynę samobójstwa pani Robinson i w zamiatanej logice snu ciągnęła się nie między tym wyda-

zeniem a staraniami Klemma o towarzysza młodości. Jaki piękny to był sen! Klemm ujrzał siebie nad otwartym grobem Marii. Poprzez rozkopaną ziemię, do której spuszczone umarłą, przyjaciel podał mu rękę, czoło dotknęło czoła, lzy spływały do grobu. Tak stali Chingachock i Skórzana Pończocha nad świeżym grobem Ostatniego Mohikanina! I Robinson podniósł głowę i spojrzal na Klemma oczyma lśniącymi od podwójnego wzruszenia: żaloby i przyjaźni. I wtedy Klemm obudził się w swojej wrogiej izbie pod lodowatym i złym wejściem zimowego poranka.

W tym samym dniu napisał do Robinsona list, w którym obarczył się winą za samobójstwo Marii. Wymyślił przy tym skomplikowane, romantyczne opowiadanie, mówił o Klemmie jako o trzeciej osobie i list pozostawił bez podpisu, jak gdyby napisał go ktoś inny. Samotnik, którego nikt nie lubił, ubiegał się o trochę nienawiści. Zaniósł list na pocztę i czekał, co nastąpi. O, teraz już

ktoś o nim myśli. Teraz nie czuje się już samotny, teraz jest celem czyjejś ciekawości i złości. Ogrzewał swą duszę tą złością, czuł jej promienie i to, że oświetla go wszędzie jak reflektor postać na scenie. Patrolował przed domem Robinsona i cieszył się na spotkanie z nim, na straszliwą rozmowę, na uderzenie kulakiem w twarz i na gorący deszcz obelg. Ale Robinson, trzymany pod ramię przez czujnego pana, przeszedł obok w milczeniu, z pustym wzrokiem i krzywym uśmiechem. Następnego dnia czytano w gazecie, że po utracie żony inżynier wpadł w obłęd.

Ciężkie to dla Klemma uderzenie! Znowu nie miał nikogo. Dni i noce stały się biotnistą masą, która otwierała się przed nim i za nim zamykała. A on był tylko brylką stwardniałego czasu, przeznaczoną na stopniowe rozpuszczenie i zniknięcie bez śladu w nieskończoności.

Wzobaczył tłok na ulicy i zmieszał się między ludzi. Jakaś kobieta chwyciła go za

ramię, jakiś mężczyzna oparł się o jego barki, by lepiej widzieć, co się dzieje. Dobra to chwila dla Klemma, błogo mu od rąk, które się o niego opierały. Ludzie krzyczyli wzburzeni, a on z nimi, nie wiedząc, dlaczego krzyczą. Potem widział, że zbliża się konna policja. Krzyk stał się wyciem i Klemm wył aż go gardło i płuca zabolowały. Padły strzały. Kłęb ludzi ogarniętych strachem miotał się, rozszarpało go na strzępy, które uleciały wraz z wiatrem.

Klemm znalazł się w bocznej ulicy, ledwie dysząc, bez kapelusza i laski. Pokuśtykał do małej gospody, pełnej wzburzonych ludzi. Wszyscy mówili o tym, co się stało. Klemm słuchał, wtrącał się, uderzał pięścią w stół i pił. Czuł się tak, jak gdyby po długiej wędrówce przez pustkowia i ciemność znalazł bezpieczną przystań. Został całą noc, krzycząc i pijąc. Potem goście znikli, świt podkradał się pod dom, zaglądał wrogo przez okna, pacholek samotności domagający się znowu swego więźnia.

# EDISON Z ŁODZI

Nazywa się Stefan Koralczyk — z zawodu elektryk, z powołania wynalazca, z konieczności reńcista, z przypadku producent generatorów sygnałowych własnego pomysłu. Generatory te służą do zestrainia obwodów w radiodiodach, więc siłą rzeczy są niezbędne dla każdego zakładu usług radiotechnicznych. Przedtem wykonywało je wiele poważnych zakładów, lecz były to rzeczy kosztowne (7.000 zł sztuka), ciężkie (7—13 kg) i duże. Generator Koralczyka kosztuje zaledwie 2.500 zł i waży 1 kg. Nic dziwnego, że w krótkim czasie wyeliminował on konkurentów z rynku i został w tej chwili jedynym producentem tej odmiany generatorów. Ich wyższość polega na tym, że działają w oparciu o półprzewodniki. Tamte działały na lampach. Poza tym mają również i tę zaletę, że są przenośne, technik może w torbie przynieść taki generator do klienta i człowiek nie musi dźwigać aparatu do punktu usługowego. Istnieje nawet w związku z tym specjalne zarządzenie, które mówi, że nie wolno otwierać nowych punktów usług radiotechnicznych bez wyposażenia ich w generator sygnałowy, który właściwie można nazwać urządzeniem do wykrywania usterek.

Ze Stefanem Koralczykiem zetknąłem się dzięki jego sąsiadom, którzy zadzwonili do mnie, że w ich domu mieszka jakiś dziwak — wynalazca, szamocący się z własnym losem i z fiskusem. Odwiedziłem człowieka i skrzętnie zanotowałem jego opowieść o sobie, która brzmi trochę jak bajka o żelaznym wilku.

Gospodarz wręczył mi na wstępie najnowszy numer „Horyzontów Techniki”, w którym przeczytałem: „W londyńskim szpitalu uniwersyteckim stosuje się nową metodę leczenia chorób układu krążenia, których

objawami są: niedokrwienie rak lub nóg. Polega ona na zastosowaniu podciśnienia. Pacjent wkłada nogi i ręce w szelne komory w których ciśnienie ulega kolejnym zmianom — od normalnego do podciśnienia. Dzięki temu krew może żyć w żyłach i zaburzenia w krążeniu stopniowo zostają wyrównane.” Świetny wynalazek, przy-

dalby się nam również taki w kraju, jako że choroba naczyń obwodowych jest u nas uznana za chorobę społeczną tak, jak gruźlica. Rzecz polega właśnie na tym, że pan Stefan Koralczyk taki sam aparat wynalazł już szesnaście lat temu. Posiada nawet patent nr 40170, który ważny jest od dnia 3 października 1956 roku. W opisie patentu czytamy: „Wynalazek dotyczy urządzenia do poddawania zabiegom leczniczym ciała ludzkiego. W fizykoterapii stosuje się różnego rodzaju środki, które mają na celu przywrócenie normalnego funkcjonowania schorzonych części ciała, a mianowicie — masaż, natryski pod ciśnieniem, elektryzację ew. elektryzację w kąpiel. Środki te pobudzają organizm do szybszego obiegu krwi w części ciała, poddawane określonemu zabiegowi, a przez to powodują regenerację obumarłych komórek mięśni i ewentualne wyzdrowienie.”

Po opatentowaniu wynalazku, wiadomo — zapanowała martwa cisza. W tym momencie mógłbym zacytować banalną opowieść o

„cierpieniach wynalazcy”, który snuł się calymi latami ze swym pomysłem po różnych urzędach i instancjach niczym duch ojca Hamleta po Elsynorze. Traktowano go wszędzie jako nieszkodliwego, co prawda, ale natrętnego maniaka.

Gdy wynalazca poczuł, że od tych żmudnych wędrówek po urzędach nogi odmawiają mu posłuszeństwa, sam zbudował prototyp aparatu i zaczął się eksperymentalnie kurować. Piszę — eksperymentalnie — gdyż mimo całego szacunku dla wynalazcy zabiegi tego rodzaju należy jednak wykonywać pod nadzorem lekarza. Widocznie jednak kuracja wypadła pomyślnie, gdyż dziś nasz wynalazca na nogi nie narzeka.

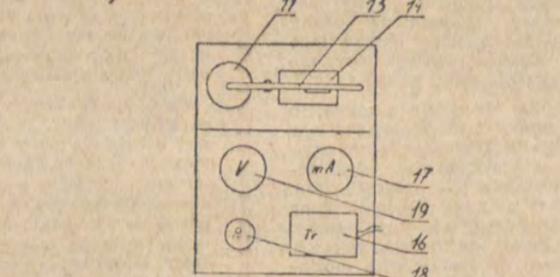
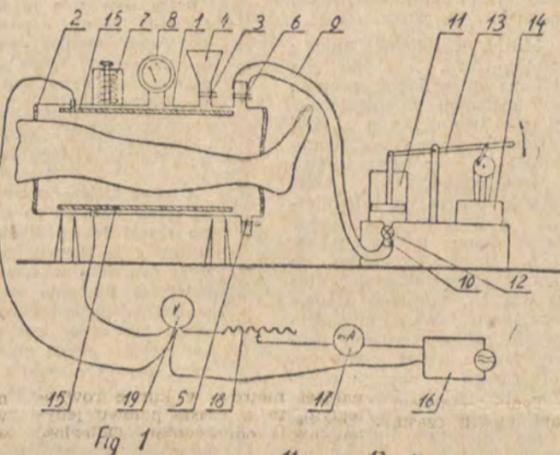
Ale Stefan Koralczyk nie jest egoistą, sam się wyleczył, więc chciał przyjść z pomocą także innym chorącym. W końcu musiał pogodzić się z losem, wsadził patent do szuflady, gdzie od lat magazynuje jeszcze różne inne dziwne pomysły, jak na przykład ten z kuchenką gazową, która w razie awarii (na przykład mleko wykipi i pędzik zgaśnie) samoczynnie się wyłącza.

Racjonalizatorom i wynalazcom zatrudnionym w zakładach przemysłowych łatwiej realizować swoje pomysły, choćby dlatego, że często znajdują poparcie „udziałowców” którzy potrafią przymusić, nie bezinteresownie, ich nową myśl techniczną. Samotny wynalazca to typ unikalny i podejrzany, ni to geniusz — ni szarlatan. Stefan Koralczyk już nieraz przekonał się o tym na własnej skórze i dlatego chętnie rzuciłby swój własny warsztat i zaczął pracować w jakiejś spółdzielni, lecz okazuje się, że to nie jest wcale takie łatwe.

Kiedy chciał wstąpić do Spółdzielni „Mechanik”, gdzie go nawet mile widziano. Łódzki Związek Spółdzielczości Pracy nie zgodził się na to, ponieważ p. Koralczyk nie wykonuje usług dla ludności. To prawda, generatorów nikt prywatnie nie kupuje, nawet w charakterze prezentów imienninowych. Ale kupują je przecież zakłady, które świadczą usługi dla ludności.

Gdy więc nie wyszło nic ze Spółdzielni „Mechanik”, wynalazca postanowił wstąpić do Spółdzielni Gluchych, ale tam z kolei nie chcieli go przyjąć, traktując jako inicjatywę prywatną. Tymczasem jemu — jak mi oświadczył — wcale się nie uśmiecha być inicjatywą prywatną.

I tak wynalazki jego nie budzą zainteresowania. Chyba, że wymyśli je również ktoś w Anglii...



Schemat urządzenia do poddawania zabiegom leczniczym schorzonych części ciała

# Głos w dyskusji

Pragnę na wstępie określić jasno zakres spraw, o których chciałbym mówić. Znam i doceniam wiele osiągnięć, jakie kultura łódzka zapisała na swoim koncie w latach ubiegłych. Pamiętając ciągle o nich, ehęg jednak poczyniłem kilka uwag o niedostatkach, ich przyczynach, a także możliwościach wybrnięcia z impasu. Chodzi mi o to, by w dyskusji takiej nie wysuwano ciągle kontrargumentów w postaci osiągnięć. Tak prowadzona dyskusja szybko staje się jałowym przegadywaniem.

W artykułach zamieszczonych w „Odgłosach” można znaleźć optymizmu sporo. Jednakże źródłem tego optymizmu są przede wszystkim zmiany, jakie zaszły u nas ostatnio. Optymistyczne widzenie przyszłości bierze się z nowej atmosfery, która w kraju nastąpiła. Mniej mówi się natomiast o ludziach, mieszkańcach naszego miasta, tych, którzy zarówno dawniej jak i teraz o owej atmosferze w Łodzi stanowili i stanowią ją. Czy oni mogą być również źródłem optymizmu?

Choroba, o której pisano już wiele, choroba wywołana wirusem oportunistycznym, asekurancja i latwizny zapuszczenia w umysłach i sercach wielu głębokie korzenie. Nielatwo będzie zmienić nie tylko ten typ działania, lecz przede wszystkim myślenia. Bo przecież nie wymieni się wszystkich ludzi. Ludzie w większości pozostaną ci sami. U nas też.

Nie będzie od rzeczy wspomnieć tu o pytaniu, na które w żaden sposób nie mogę znaleźć odpowiedzi. Zrodziło się ono wcześniej, zanim W. Gornicki tak celnie nazwał zjawiska, których dotyczy. Tak, oczywiście chodzi o „chochoły”. Nie tylko przecież w Łodzi był urodzaj na różne ich odmiany. Dlaczego więc właśnie w Łodzi wyhodowaliśmy ich najwięcej? Dlaczego tu, w takim środowisku znalazły one tak podatną glebę? Powie ktoś: przesada. Czyżby? Przecież wyszliśmy z tamtych lat z największymi zainwestowaniami i to w każdej dziedzinie. Przecież dla nas powołano specjalną komisję rządową. Lecz czy rzeczywiście raport rządowy o stanie Łodzi, przygotowywany przez komisję, zawierający też analizę sytuacji oświatowej i kulturalnej, może wnieść jakieś zmiany na nasze kulturalne podwórko, a nade wszystko rozwiązać nasze kłopoty? Rozumiem bowiem, że istotne będzie nie dla Łodzi zaakceptowanie lub odrzucenie sprawy modernizacji czy budowy fabryk, rozwoju nowych gałęzi przemysłu, czy odpowiednio resorty i ministerstwa. Czy jednak Wysoka Komisja nakreśliła „myśl ideowo-artystyczną naszych teatrów”, czy sprawi, że w łódzkiej TV zainicjuje się rodzid spektakle na miarę teatru Hanuszkiewicza, czy przywróci do życia i uczyni z naszej „Osnowy” pismo poszukiwane w całym kraju? Chyba nie. Może otrzymamy nowe kina, domy kultury, sale wystawowe i inne przybytki sztuki, ale co będzie, jeśli znów z nich powieje nuda i pustka? Materiałnie tapczę, aczkolwiek niezwykle ważne, to w kulturze dopiero połowa rozwiązanych problemów.

Nie mogę się powstrzymać od pewnego porównania. Słyszymy niejednokrotnie, że tylko nowe tramwaje, autobusy, superszybkie, supernowoczesne, mogą definitywnie rozwiązać nasze kłopoty komunikacyjne. Nie wyobrażam sobie zupełnie tych mknących strzał, kiedy patrzę jak nasi dyspozytorzy rachy potrafią niekiedy godzinami rozwiązywać najprostsze perturbacje, czekając na oddórne dyskretywy windy, gdy potrzebne są natychmiastowe decyzje i działanie i gdy odrobina inicjatywy wystarczyłaby zupełnie.

Więc mimo wszystko jednak bardziej wierzę w przyszłość łódzkiej kultury, niż łódzkiej komunikacji. Kto wie, czy nie stąd moja wiara, że kulturalne kadry młodzień z roku na rok. Upatruję wszak wielką szansę w tym, że w teatrach pojawiają się nowe nazwiska, że na festiwalach słychać młodych poetów i krytyków, że w salach wystawowych oglądać możemy dojrzałe dzieła młodych twórców. A jakże nie wspomnieć tu o całej armii działaczy, szeregowych „upowszechniaczy” kultury, w przeważającej części ludzi młodych, którzy nie przekroczyli jeszcze 30 lat. A to są ci, którzy stanowią będą w przyszłości o randze kultury Łodzi. I chyba zdają sobie sprawę z tego doskonale starsi, którym drogą jest rzeczywiste sprawy przyszłości naszej kultury. Wiedzą chyba, że mogą liczyć na te pomoc. Szkolę jedynie w tym, kiedy zawierzy się tym młodym i pozwoli im się działać według ich programu. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie chcę nikogo odsyłać na przedczesną emeryturę, ani też nie zachęcam do obrazoburczych przewrotów. Rzecz jedynie w tym, by pozwolić komuś podnieść paleczkę, skoro samemu się nie potrafiło jej dużej utrzymać.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym aspekcie poruszanych problemów. Wydaje się, że dotychczas zbyt często, nie tylko czeszą na kulturalnym podwórku, konsekwentnie przestrzegaliśmy podziału na sprawy miasta i województwa. Nie trzeba chyba udowadniać, że nie mogło to przynieść wielu korzyści zarówno jednej jak i drugiej stronie. Czas najwyższy pomyśleć o większej integracji wysiłków, a może niekiedy, i środków. Może ów raport udałoby się poszerzyć i o problemy kultury regionu łódzkiego, które jakże często są podobne do naszych, łódzkich, szczególnie w szych bolączkach i kłopotach.

Przełożył: L. B.

MICHAŁ  
STRZELECKI

# GIEŁDA TALEN- TÓW



Fot. E. Kudaj

Przez 10 dni lipca ponad 6 tys. młodych ludzi ubiegało się o najwyższe trofea sportowe II Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Rozmachem organizacyjnym impreza ta przypominała igrzyska olimpijskie. Młodym sportowcom towarzyszyło około tysiąca trenerów, nie licząc pokazowej, idącej również w tysiące grupy sędziów, opiekunów oraz bezpośrednich organizatorów zawodów. Tę blisko 10-tysięczną armię trzeba było ubrać, wyżywić, zakwaterować, przetransportować, obdarzyć upominkami, zabezpieczyć jej namiastkę rozrywek kulturalnych oraz pokazać dorobek i trud ludu pracującego Śląska. Nie mam pojęcia ile to wszystko kosztowało. W każdym bądź razie wydatki sięgają milionów złotych.

I po co to wszystko? Na to pytanie nie można dać jednoznacznej odpowiedzi, bo różnorakie znaczenie ma sens tej imprezy. Z jednej strony ma to być przegląd naszego zaplecza sportowego, pierwszy poważniejszy egzamin młodzieży przed igrzyskami olimpijskimi, z drugiej — wykazanie dorobku na tym polu poszczególnych województw i miast wydziałowych. Dochodzi do tego trzeci czynnik natury polityczno-wychowawczej, który ma nie mniejszą wartość społeczną niż dwa poprzednie. Istnieje jeszcze nurt podskórny spartakiady, o którym się oficjalnie nie mówi, a który nazwałbym sportową giełdą talentów. Każdy z zawodników,

biorących udział w spartakiadzie, chce uzyskać najwyższy znak jakości sportowej. Są to normalne ludzkie ambicje, a ponadto szansa przedostania się do grupy uprzywilejowanej — kadry narodowej. Taki awans zaspokaja nie tylko ambicje, ale daje również pewne aparytacje w postaci częstszych wyjazdów zagranicznych i wyższych diet. Na wszystkich spartakiadowych arenach toczyła się więc bardzo zacięta walka. Nie tylko na boiskach i w salach, ale także przy zielonych stolikach. To działacze starali się wykorzystać pewne nieścisłości regulaminowe na korzyść zawodników ze swych okręgów. Szczególnie wyraziście problem ten wystąpił w sportach niewymiarowych (dla przykładu w gimnastyce), gdzie sędziowie wykorzystywali swe pozycje do robienia „sztucznych” wyników.

Nieodłącznym zjawiskiem każdej spartakiady są grupy menażerów. Oficjalnie występują jako działacze, przedstawiciele poszczególnych okręgów, ale w rzeczywistości mają na celu przechwytywanie bardziej uzdolnionej młodzieży do swych organizacji sportowych. Toczyły się więc w kulisach wstępne rozmowy między menażerami i zainteresowanymi trenerami, wychowawcami talentów w sprawie ewentualnego przejścia danej zawodniczki czy zawodnika z jednego klubu do drugiego. Bynajmniej nie na piękne oczy.

Jedną z obiecujących sportsmenek gotowa była porzucić swój macierzysty klub za mieszkanie i pensję w wysokości 4 tys. zł. miesięcznie. Nie była to

wcale wysoka cena, bo i dziedzina sportu przez nią reprezentowana nie przyciąga tłumów do sali. Bardziej cenionymi na sportowym rynku są piłkarze i z pewnością w niedługim czasie talenty w tej dziedzinie sportu z Zielonej Góry zasila inne ośrodki w kraju, posiadające drużyny w I i II lidze piłkarskiej. A to „rozdrapywanie” dorobku piłkarskiego zielonogórczan zostanie usankcjonowane określonymi przepisami, powoływaniem się na wyższe cele, ogólnokrajowe dobro piłki nożnej. W takiej sytuacji nie może być mowy o tym, aby Zielona Góra mogła wykorzystać swych własnych wychowanków do zdobycia wyższego szczebla w hierarchii piłkarskiej Polski. Możliwi w sporcie zawsze będą góra,

Atmosfera spartakiady katowickiej od dołu do góry (od komitetu organizacyjnego poprzez działaczy, trenerów i zawodników) przesiąknięta była punkotnością. Przewodniczący komitetów kultury fizycznej, ludzie odpowiedzialni za przygotowanie poszczególnych reprezentacji do spartakiady, chodzili z długopisami w rękach i obliczali skrupulatnie na karteluzkach ilość zdobytych przez ich sportowców punktów. Cieszyli się z potknięcia rywali i radowali jak dzieci, kiedy niespodziewanie rosły im punkty klasyfikacyjne.

Przedstawiciele Łodzi mieli mało powodów do zadowolenia. Ich rachuby kalkulacyjne wzięły w łeb. Liczyli na poważne sukcesy w boksie, kolarstwie, zapasach, a tymczasem faworyci zawodzili na całej linii. Nie popisali się też

lekkoatleci, ani szermierze. A przecież stworzono wszystkim spartakiadowym ekipom jak najkorzystniejsze warunki przygotowawcze do występów na spartakiadzie. Może najmniej zadbało o strzelców sportowych, a ci właśnie przysporzyli Łodzi, obok pływaków, najwięcej powodów do dumy.

Można się śmiać, kpić z punktomanii, ale jest ona jakimś miernikiem postępu czy stagnacji w sporcie. Nie przeto dziwnego, że z taką uwagą śledzono codziennie tabelę współzawodnictwa spartakiadowego. Łódź tkwiła zawsze na 9-10 miejscu, a woj. łódzkie okupowało dolne rejony tabeli. I nic się nie zmieniło do końca spartakiady. Iłże przykrych, złośliwie współczujących uwag musiałem wysłuchać w centrum prasowym na temat sportu wycynowego w naszym okręgu. Bronielem jak mogłem swego gniazda, ale nie zawsze starczało mi rozsądnych argumentów, aby odprzeć uzasadnione ataki. Wolalem więc unikać tego rodzaju dyskusji, aby nie strzępić sobie nerwów.

Że się dzieje z rozwojem sportu młodzieżowego w Łodzi. Uwidoczniła to spartakiada katowicka, jak i poprzednia — wrocławska. I tak długo nie wyjdziemy z impasu, jak długo sport w szkole nie będzie wreszcie stać na właściwym poziomie, i jak długo kluby sportowe będą traktować swą młodzież po macoszemu.

Nie ma co szukać kozłów ofiarnych. Winnych jest wielu. Trzeba tylko umieć i chcieć wyciągnąć z popełnionych błędów właściwe wnioski na przyszłość.

OBIEKTYW

## W RÓŻNYCH WYMIARACH

W minionym tygodniu dominowało kilka wydarzeń, które znalazły dość obszerne odbicie w programie telewizyjnym. 27 rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego była odnotowana audycjami typu literackiego: Estradą Literacką z programem Zbigniewa Jerzyny „Gorący ślad” w reżyserii Lecha Wojciechowskiego i reportażem poetyckim „Rozsiewane wiatrem” Zofii Kucówny w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. 27 lat to kawał czasu, a Powstanie Warszawskie wciąż jeszcze nie zostało zamknięte kartami historii. Wciąż pozostaje w pamięci tych, którzy dramat warszawski przeżyli osobiście, którzy utracili w nim swoich najbliższych.

Drugą rocznicę — rozpoczęcia I wojny światowej przypomniat znakomity film dokumentalny produkcji francuskiej „1914-1918”. Ten pełnometrażowy dokument oglądali z zapartym tchem i starzy i młodzi. Był to film świetnie zrealizowany, zmontowany z autentycznych zdjęć i filmów, opatrzonej znakomitą komentarzem. Nie wiem czy refleksje, jakie wywołał, były zamierzone przez autorów, czy po prostu sprawiła to wymowa faktów, ale analogie między rokiem 1914 a 1939 nasuwały się same. Jakże podobni byli — mimo ćwierćwiekowej odległości w czasie — Niemcy Wilhelmowi do Niemców Adolfa, jakże podobny „duch” towarzyszył wzniesieniu obu wojen. Ten film jeszcze raz umocnił nas w przekonaniu, że konsekwencje, które ponieśli Niemcy w wyniku II wojny światowej były koniecznością życiową Europy.

Drugą dominantą tygodnia był lot statku kosmicznego „Apollo-13”, podróż kosmonautów i ich pobyt na Księżycu. Cokolwiek mówiliby oponenci wypraw w kosmos na rzecz uporządkowania spraw ziemskich, przecież te podróże zapoczątkowały nowy etap naszych dziejów, nauki, poznania wszechświata.

A na co dzień — przepraszam Czytelników za te przeszkoki od spraw ważnych do mniej poważnych, ale takie jest życie i taki jest program TV — nad krajem zagnało się słońce, a w telewizji było dużo wody. Co nie przeszkodziło młodzieży w śpiewaniu. Niedzielna audycja ze Studenckiego Festiwalu Zespołów Artystycznych „Fama 71” w Świnoujściu przekonała nas o tym dowodnie. Sam festiwal być może miał wiele uroku w oryginalnej wersji, był zapewne okazją dla dobrej zabawy wykonawców i widzów, zabawy szczerzej i bez troski. Audycji nie udało się tego nastroju przekazać. Być może zawiniła tu pretensjonalność scenografii i pomysły inscenizatorskie. Planino w wodzie, konie w wodzie, fotel w wodzie, rozczłonkowane manekiny, piosenka w kurnej chacie, piosenka na kole ratunkowym, piosenka długa jak brzeg morski w granicach PRL, ale nie tak jak morze głęboka. Nie uratowało audycji kilka dobrych piosenek, ani Elżbieta Jodłowska ani zespół Sigma z Krakowa.

Wtorkowy Telewizyjny Ekran Młodych zaszerwował kolejną giełdę piosenek, tym razem ze zgrupowania młodzieży w Rozalinie. Tu wody też nie zabrakło, ale był i ogień, Rozpalono ognisko, które doskonale komponowało się ze słowami piosenki. A z piosenki dowiedzieliśmy się, że „ludzie u ogniska osławiają świat” i że „ludzie u ogniska odgadują los”. Istotnie, ludzie u ogniska osławiali świat z piosenką, a ludzie u telewizorów odgadawali los Rozalini, który zależał od ewentualnej obecności lub nieobecności poza zasłganiem kamer, oddziałów straży pożarnej. Jak stwierdził zaproszony na giełdę Lech Zahorski, wszystkie piosenki były śliczne. A powiedziawszy to, zaprezentował rysowaną recenzję audycji, na której telewizor wypuszcza wodę z telewizora za pomocą kurka. Niestety, my takich telewizorów nie mamy. Dobrze to, że giełdę piosenek przeniesiono do TEM, niedobrze zaś, że jej poziom stale się obniża.

ZASTĘPCA



Oto dwa filmy. „Lekarz Kasy Chorych” i „Czas życia i miłości”, oba będą o głosami w dyskusji o nurtujących współczesnych ludzi problemach z tym, że pierwszy nie sięga poza partykularne sprawy włoskie, a dopiero drugi ma znaczenie powszechniejsze dotyczące wszystkich, którzy utrzymują się z pracy własnej, nie cudzej, bez względu na szerokość geograficzną i ustrój społeczny. Ale zanim przejdziemy do zasługującego na większą ilość

miejsca „Czasu życia”, krótko o „Lekarzu”. „LEKARZ KASY CHORYCH” autorstwa Luigi Zampy (reżyser i współscenarzysta) oraz Alberto Sordiego (współscenarzysta i odwołany roli tytułowej) w oparciu o powieść b. lekarza z Bolonii, Giuseppe d'Agata, należy do tej serii filmów włoskich, którą zapoczątkował „Rozwód po włosku” Germiego i które posiadają zdolność wywoływania interpelacji w parla-

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

mentem. Bawiem uprawiają z powodzeniem satyrę obyczajową. W pamiętnym „Rozwodzie” chodziło o dotkliwą dla Włochów niemożność uzyskania rozvodu, w „Lekarzu” idzie o handel pacjentami, których lekarze bądź sprzedają (za ustaloną opłatę), bądź wydzierają sobie podstępem. Pobory lekarza w ubezpieczalni zależą od ilości pacjentów, wybierających w teorii, eskulapa według własnego uznania. W praktyce jednak włoscy ubezpieczeni to współczesni gogolowskie „marwe dusze”, porównanie, którego użył sam Sordi w jednym z wywiadów i które uparcie nasuwa się w czasie oglądania filmu. Śmieszne? Tak. Lecz równocześnie przywołanego (zapewne na szczęście) jako historyjka z jakiejś umownej Tromadracji, czy innego kraju nierzeczywistego. Gdyż jedynie odrzucające cechy natury ludzkiej, fałsz, liuzusowość i chciwość, wykraczają poza włoską specyfikę tematu.

W wypadku „CZASU ŻYCIA I MIŁOŚCI” rzecz wygląda inaczej. Tu już nie chodzi o satyryczne ukazanie zjawiska z zakresu partykularnych obyczajów, lecz o całkiem realną analizę dylematu: jak żyć? (zarysowanego zresztą podobnie w polskim filmie Krzysztofa Zanussiego „Struktura kryształowa” — podobienstwo, które uzasadnia uczynioną na wstępie uwagę o uniwersalnym znaczeniu „Czasu życia”). Krytyka francuska podnosi, że twór-

ca „Czasu życia i miłości”, Bernard Paul, odmiennie od starych wyjadaczy nowofalowych, nawiązał do populistycznych tradycji francuskiego kina; że podjął spadek po Jeanie Renoir i Jeanie Becker, dopuszczając na ekran proletariatusy w miejsce bogatych próżniaków. Jest tak istotnie: akcja „Czasu życia i miłości” rozgrywa się w miasteczku Martignes, które stanowi centrum neokapitalistycznej prosperity i mieszkańcy tego miasteczka oraz robotnicy sezonowi, ścigający tu z różnych stron Francji, wymieniani są jako współaktorzy. Docieklivość obserwacji nowej fali widoczna jest w kadrach tego filmu, tym ciekawsza i tym cenniejsza, iż przedmiotem obserwacji są zwykli ludzie i zwykłe życie.

Leży za nim również — widoczny zwłaszcza w podejściu autora do postaci — dorobek wielkiej literatury francuskiej, charakterystyczna dla niej bystrość psychologiczna (potocznie nazywa się to „znajomością duszy ludzkiej”). Analiza, którą przeprowadza Paul, jest w równej mierze socjologiczna, co psychologiczna: harmonia proporcji, jaka rzadko się udaje nie tylko w kinie. Scena wieczornego odpočynku rodziny robotnika budowlanego, Luisa, przy telewizorze — oto przyczynę do tematu „czas wolny w dobie kultury masowej” bardziej przejmującej w swej skrótovej wymowie niż rozważania i biadolenie socjologów. Z kolei sekwencja wypytywania synka

o zachowanie matki podczas nieobecności ojca jest subtelnym, niby rysunek piórkiem, obrazem uczuć człowieka, zapracowanego do upadłego, a jeszcze mającego siłę kochać i żywo doznawać zazdrości.

Powstawa się, że „Czas życia i miłości” demistyfikuje współczesny kapitalizm. Zapewnia on dobrobyt, owszem, ale kosztem morderczej pracy. Na takim tle odbywa się jednak w filmie coś więcej. Jeśli sięgniemy bardzo głęboko, okaże się, że dotyka on archetypowej troski mężczyzny o rodzinę, troski właściwej Zwiłcielowi i Ojcu, która dzisiaj prowadzi do nierozwiązywalnej sprzeczności. Gdyż zaspokojenie potrzeb materialnych zdaje się kłócić z zaspokojeniem potrzeby uczucia i życia prywatnego, jako że te pierwsze przerosły i przesłoniły drugą.

Piękny i przenikliwy w szczegółach, w całości „Czas życia i miłości” pozostawia wszakże pewien niedosyt. W ostatecznym rachunku film Paula dostarcza przykładu melodramatu i historii banalnej o rozpadzie i ponownym związaniu się rodziny, gdy rzecz o zniknięciu jest odbierac banalność banalnemu. Myślę, że nad niedosytem prawdy i siły, jaki budzi całość, zaciążyło — paradoksalnie — obsadzenie Mariny Vlady w głównej roli kobiecej. Aktorsko jest ona bez zarzutu. Lecz w filmie aktor jest wzięciem swojej twarzy, swojej, jak mówią niektórzy, „fizyczności”. Marina Vlady pozostaje dla nas rozpoznawalna Marina Vlady niezależnie od roli, która gra, dlatego wielu reżyserów robiących realistyczne filmy o realnym życiu woli aktorów mniej znanych, aby złudzenie było pełne.

JOLANTA MACH

# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## ILUZJONISCI

Dziewczyna jest piękna. Ma na sobie tylko kostium kąpielowy. Podbiega do niej dwóch mężczyzn. Chwytają dziewczynę w silne dłonie i pakują do skrzyni. Za krótka ta skrzynia. Wystają z niej nogi dziewczyny i jej głowa. Na skrzydła mężczyźni nakładają wieko z dwoma otworami, przez które dziewczyna wyciąga ręce. Widac jej dłonie wystające nad powierzchnię



wieka. Mężczyźni biorą piłę. Piłują skrzynię w której leży dziewczyna. Teraz z pewnością piła zagłębia się w ciało leżącej w skrzyni. Mężczyźni piłują dalej, aż skrzynia zostaje całkowicie przepolowana w poprzek. Ktoś zarzuca płachtę, aby oszczędzić widzom „nieprzyjemnego widoku przepolowanych wnętrza”. Nagle z za owej płachty wyskakuje ta sama dziewczyna. Cała i zdrowa. Klania się, a publiczność bije rżęście brawa.

Jeden z numerów tak zwanych magicznych. Numer ze skrzynią jest stary. I jak wiele sztuczek magicznych oparty na triku. Otóż piękna dziewczyna, kładzie się do skrzyni, a mężczyźni ustawiają tę skrzynię na stole. Pod stołem znajduje się druga dziewczyna (zob. na załączonym rysunku). W momencie kiedy stół zostaje przysunięty, aby „widzowie mogli lepiej wszystko zobaczyć” pierwsza podkureza nogi, podczas gdy druga, ta pod stołem,

wkłada swą parę nóg w otwór skrzyni. Teraz skrzynia zostaje przepilowana. Skrzynia w której leży dziewczyna z podkurczonymi nogami, zostaje odsunięta i zarzuca się na nią zasłonę. Za chwilę wyskoczy ze skrzyni dziewczyna żywa i cała.

Oczywiście w zakres popisów magicznych czy iluzjonistycznych wchodzi więcej sztuczek. Mogli je ostatnio oglądać paryżanie w „Olimpi”, gdzie odbywał się Międzynarodowy



Festiwal Magików poświęcony uczczeniu stułecia śmierci wielkiego iluzjonisty francuskiego Jean-Eugène Robert-Houdina (1805-1871), którego imieniem nazwana została jedna z ulic Paryża. Robert-Houdin był twórcą Théâtre des Solrees Fantastiques, Teatru Wieczorów Fantastyki.

Michel Seldow, jeden z najwybitniejszych iluzjonistów współczesnych jest współautorem audycji we francuskiej TV pt. „Monsieur Robert Houdin”.



Orson Welles jako iluzjonista

Sam Seldow był dziennikarzem, następnie fotoreporterem, potem zawodowym iluzjonistą. Od dwiętego roku życia uprawiał sztuczki magiczne. On to napisał książkę o życiu i sekretach Robert-Houdina. Za jego staraniem poczta francuska emitowała znaczek ku czci Robert-Houdina.

Sztuki magiczne są stare jak ludzkość. Tylko, że niejednokrotnie służyły one złym celom, żerując na naiwności ludzkiej, wmawiano, że sztuki magiczne są czymś nadprzyrodzonym itd. Dziś magicy nie ukrywają, przeciwnie podkreślają nawet, że ich sztuki są oparte na niezwykłej, nierzadkiej, lecz naturalnej, zrzeczności i na złudzeniach. Najśłynniejsi iluzjoniści współpracowali też chętnie z nowo rodzącą się sztuką filmową. Jednym z nich był Georges Méliès, ostatni dyrektor Teatru Wieczorów Fantastyki. Bardzo ściśle współpracował z braćmi Lumière, ojcami kina, i on to przeniósł iluzje i prestidigitatorstwo na teren filmu. Tak narodziła się sztuka trików filmowych.

Oprócz zawodowych iluzjonistów, wielu ludzi uprawia sztuczki magiczne z amatorską. Przykładem może tu być znany aktor i reżyser Orson Welles, który od lat już popisuje się amatorskimi występami magicznymi. W jednym z filmów, grając rolę iluzjonisty, przedplowuje Marie-Georges Dietrich.

## RENEANS MUZYKI SKRIBINA

Słynny kompozytor rosyjski Rimski-Korsakow nazwał go „gwiazdą pierwszej wielkości”. Lew Tołstoj mówił o nim jako o „Istotnie wielkim człowieku”. Ale dopiero teraz w ponad pół wieku po śmierci rosyjskiego kompozytora i pianisty Aleksandra Nikołajewicza Skriabina (1872-1915) jego muzyka święci prawdziwe triumfy, jego dzieła są szeroko po-

pularyzowane przez liczne nagrania płytowe. Radziecka „Melodia” wypuszcza płyty z wszystkimi dziełami orkiestrowymi Skriabina nagrany pod dyrekcją Jewgienija Swietlanowa, „Deutsche



A. N. Scriabin (1872-1915)

Grammophon Gesellschaft” przygotowuje kasety z płytami, na których nagrany jest zbiór sonat fortepianowych w interpretacji pianisty brazylijskiego Roberto Seldona. Wirtuozpianista Vladimir Horowitz nagrał całość późniejszych, zwłaszcza ważniejszych utworów Skriabina dla wytwórni płyt „Columbia Records”, a mała niemiecka firma „Da Camera” wypuszcza płyty z utworami Skriabina w interpretacji Roberta-Alexandra Bohnke. Monachijskie wydawnictwo Walter Wollenweber po raz pierwszy od roku 1924 wznowia filozoficzne pisma Skriabina „Fantazje Prometejskie”.

Aleksander Nikołajewicz Skriabin ekspresjonista i mistyk, subtelny wyrazieli w muzyce subiektywnych nastrojów, wzbogacił w znacznym stopniu środki wyrazowe harmonii przez stosowanie nowych kombinacji. Jego muzyka, niezwykle oryginalna, odznacza się dużą emocjonalnością i ogromną siłą ekspresyjną.

Mając lat dziesięć pisał utwory na fortepian (nie publikowane) i marzyliście wiersze. Jako piętnastoletni chłopiec napisał „Balladę na fortepian”. Ukończywszy w Moskwie szkołę kadetów, Skriabin, syn carskiego dyplomaty, poświęca się całkowicie muzyce studiując w konserwatorium muzycznym, po czym wyjeżdża na wieloletnie tournée po Europie. Pociąga go filozofia i teozofia. W roku 1904 bie-

rze udział w kongresie filozoficznym w Genewie i dyskutuje z Plechanowem. Skriabin pozostawił po sobie wiele utworów — symfonii i poematów muzycznych na fortepian i orkiestrę, dziesięć sonat, 90 preludii, mazurki, etudy, koncerty fortepianowe z orkiestrą.

## NAGRODA STREGA

Raffaello Brignetti otrzymał ostatnio literacką nagrodę Strega za powieść pt. „La Spiagia d'oro” (Złota plaża). Prix Strega uważana jest we Włoszech za nagrodę literacką o takim znaczeniu jak Nagroda Goncourtów we Francji.

## WIEŻA EIFFLA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Wieża Eiffla, która tak się zrosła z widokiem Paryża, że stała się symbolem tego miasta, jest w niebezpieczeństwie. Tak orzekł fachowiec. Pomimo, że co

pięć lat maluje się ją, rżca przegrzyza budowlę.

## CZERWONY KAPTUREK L. REKLAMA

Czerwony Kapturek, dziewczynka ze słynnej bajki Perraulta, służy reklamie w amerykańskiej TV. W momencie kiedy zły wilk ma się zabrać do zjedzenia babci, widzi nagle na stole wianuszek kiełbasek znanej firmy. Wilk przynajmniej z polkniecia babci Czerwonego Kapturka i zruca się na kiełbaski wołając: „Te przysmaki firmy takiej to a takiej bardziej mi smakują niż babcia.”

## NAGRODA IM. LUIGI PI-RANDELLO

Pierwszą międzynarodową nagrodę im. Luigi Pirandello otrzymał szwedzki reżyser Ingmar Bergman. Uroczyste wręczenie nagrody odbędzie się w listopadzie w Palermo.

## ZIG, PUCE, PINGWIN, ALFRED I MEDAL

Alain Saint-Ogan autor popularnych rysunków, a zwłaszcza cyklu zamieszczanego na łamach „Dinamane Illustré” o niezwykłych przygodach dwóch chłopców Ziga i Puce'a oraz ich pingwina

Alfreda, otrzymał srebrny medal miasta Paryża.

Saint-Ogan odznaczony został głównie za to, że był pierwszym rysownikiem, który we Francji spopularyzował komiks. W roku 1928 wydawnictwo „Hachette” wydrukowało w formie książki przygody dwóch chłopców i ich niezwykłego pingwina.



Zig, Puce i ich pingwin Alfred



## SURREALIZM

NIE TYLKO W MALARSTWIE — SKATALOGOWANE SERIE — ZABRAKŁO SOLIDNOŚCI — POMIENIĘTO PROFESORA PIGONIA — ROZCHWIANE Kryteria — DWA ZDANIA O BIBLIOTECE POETÓW — CZEGO BRAK JESZCZE? — JEDYNA ODPOWIEDZ

Surrealizm — słowo pięknie brzmiące, w którym i świst i grzyt i koloratura samogłosek... Surrealizm — słowo, które wypowiedział niekiedy spotykam fakty i zdarzenia wymykające się formom logicznego myślenia...

Surrealizm w malarstwie, ale nie na płótnach Salvadóra Dali, lecz w normach i paragrafach. Oto mówi mi znany malarz — „nie mam prawa sprzedać swojego obrazu ot, tak, w pracowni — muszę transakcję przeprowadzić przez księgowość przedsiębiorstwa związkowego, choć to mój obraz, moje płótno i farby, kupione za moje pieniądze... ale obrazu sprzedać mi nie wolno. Jeśli obraz wysyłam za granicę, muszę podpisać oświadczenie, że wysyłam go za darmo, że nie sprzedaję, lecz ofiarowuję. Kiedyś się zbuntowałem i

rzekłem — jestem poważnym człowiekiem, nie będę pisał lipnych oświadczeń, obraz będzie za granicę sprzedany... Urzędniczy zatamali ręce — „niech pan nam nie utrudnia, co się stanie za granicą z pańskim obrazem, to pańska sprawa, ale my musimy mieć to oświadczenie...”

Choć mało kto maluje surrealistyczne obrazy — surrealizmu w malarstwie sporo. Ale nie tylko w malarstwie. Oto wpadła mi w ręce ście surrealistyczna praca p. Aniela Morawskiej pt. „Serie wydawnicze w Polsce Ludowej”.

Ponad 600 stron, ponad 40 arkuszy i po co? Zakończenie było takie — skatalogować wszystkie serie wydawnicze. No dobrze, gotów jestem nawet się zgodzić, że to komuś się przyda, że jest sens dru-

kować ten katalog w paru tysiącach egzemplarzy i sprzedawać w księgarniach. Bylbym gotów się zgodzić na katalog serii wydawniczych za 45 zł, gdybym miał gwarancję, że jest to zestawienie pełne. Tylko solidność tej dość problematycznej pracy mogłaby usprawiedliwić jej obecność na rynku wydawniczym. I właśnie solidności zabrakło. Istny surrealizm!

Słusznie zarzuca „Życie Literackie” p. Aniela Morawskiej pominięcie najważniejszych i cennych serii wydawniczych w latach 1945-1951 w prywatnych oficynach i spółkach wydawniczych. Pominięto więc serie pod redakcją prof. Stanisława Pigonia — „Biblioteka arcydzieł poezji i prozy” oraz „Literatura — Sztuka — Krytyka”...

Pominięto także bardzo istotny ruch wydawniczy z pierwszych lat powojennych. Mam na myśli tzw. biblioteczki gazetowe — prozę polską i obcą wydaną w masowych nakładach przez dziesiątki redakcji w Polsce. Starsi pamiętają te jednolitokładki i gazetowy papier — „Bibliotekę „Przyjaźniółki”, „Bibliotekę „Chłopskiej Drogi”, „Bibliotekę „Trybuny Robotniczej”... Ten ogromnie istotny ruch popularyzatorski został całkowicie pominięty w

epokowym dziele p. Aniela Morawskiej.

Zresztą p. Morawska stosuje w swej pracy kryteria dość rozchwiane. Odnawia na przykład serię wydawniczą, która skończyła się na 3 (słownie — trzech) książkach, robi to solidnie, podaje tytuły, autorów... I jednocześnie kwituje 10-letni dorobek „Biblioteki Poetów” Wyd. Łódzkiego dwoma zdaniem. A przecież w tej serii ukazało się kilkadziesiąt tomów poetyckich. Przez całe lata „Biblioteka Poetów” była jedyną serią wydawniczą poświęconą współczesnej poezji. Pani Aniela Morawskiej zabrakło ochoty, aby zajrzeć do jakiegokolwiek katalogu WL — poważną serię skwitowała w parowierzowej notatce.

Można by się z tym zgodzić, gdyby zasada ta obowiązywała w całej pracy. Ale gdzie tam! Dwie strony dalej notuje inne cykle poetyckie innych wydawnictw i tym razem podaje pełny katalog publikacji w ramach serii. Jakież więc kryteria rżdażą tą książką?

Nie mogłem się w pracy p. Aniela Morawskiej doszukać bardzo popularnej niegdyś MON-owskiej serii zwanej potocznie „Frontowe drogi” (od tytułu książki Kotowicza), choć jest, na przykład, „Biblioteczka Pracownika

Ceglelni”, seria egzystująca niecałe dwa lata i zawierająca raptem pięć pozycji. Jest w pracy p. Aniela Morawskiej seria oceanologii i hydrotechniki, zapoczątkowana w 1970 roku w Wyd. Morskim, a nie ma serii „turystycznej”, zapoczątkowej rok wcześniej w Wyd. Łódzkim... I tak dalej i tak dalej.

Oczywiście nie mam pretensji do autorki o to, co jest w książce. Mam natomiast pretensję o to, że tak wiele pominięto. Albo potraktowano zdawkowo i lekceważąco. Wracając do „Biblioteki Poetów”, jeśli uważa się za konieczne odnotować książki poetyckie pp. Pajaka, Kazberuka czy Stefaniaka, to solidność naukowa nie powinna wzdragać się przed odnotowaniem książek Huszczy, Piechala, Słobodnika czy Jarosława Marka Rymkiewicza.

Dlaczego tak się stało, dlaczego opasła praca jest niekompletna i zawartość przeczy tytułowi? Dlaczego w tym ponad 600-stronicowym tomie trudno coś odnaleźć, bo nie opatrzonego rzetelnym indeksem? Dlaczego książka, która może mieć jaką-taką wartość dla bibliotekarzy, nie wydana została jako druk wewnętrzny?

Surrealizm — oto jedyna odpowiedź. JERZY WIDOK

# Bez strachu

## KTÓRZY KRZYCZĄ

Krzyczą bardzo często i donośnie, krzyk ten jednak, z mojego punktu widzenia, nie ma zupełnie nic wspólnego z wartościowymi psychologicznymi, społecznymi, biologicznymi wrzeszczami. Dlatego natychmiast po usłyszeniu wspomnianych krzyków, zapomniałem. Nie zdołałem jeszcze ustalić, gdzie zbierają się, aby krzyżeć. Trzeba też pamiętać, że może zbierać się w jakimś innym, niż krzyk, celu, a krzyżeć spontanicznie, bezwiednie, niemal... Może to piłkarze zbierają się, by podwieźć na ustronny boisku i są przez postronnych nagradzani lub karani krzykiem. A może to pływacy pływają w basenie i w miarę tonięcia lub unoszenia się znakomitego w basenie, są podobnie nagradzani czy też karani? To wszystko tylko hipotezy, mnożenie ich nie nam nie da. Lepiej trzeba ustalić fakty mimo, że materiał faktyczny jest raczej ubogi. Krzyki nigdy nie rozlegają się we wczesnych godzinach rannych. Nie słyszałem ich także nocą. Najczęściej rozlegają się w południe i w godzinach popołudniowych, aż do przedwieczornych wieczorów. Stoję zmęczony, z ręcznikiem w ręku i słyszę ze zbiorowe krzyki wyrażające zbiorową afirmację lub zbiorowe sztyderstwo. Potem zapominam o krzykach i żyję w milczeniu, w ludzkim, że tak powiem milczeniu. Bowiem dany mi jest daleki pogłos jadących koni, warkot motorów. Oczywiście te odgłosy są także pośrednio ludzkie, gdyż motory warczą dla ludzi, dla ludzi stukają kopytami konie. Brak jednak przez długie godziny głosów bezpośrednio ludzkich, a zwłaszcza ludzkich, zespolonych okrzyków. Ludzie milczą — ich potęgę głoszą służebne maszyny i zwierzęta. Właśnie, kiedy zajęty jestem tym myśleniem, słyszę znowu radośny, zbiorowy krzyk. Może gdzieś ktoś zdołał wrzucić piłkę do kosza, jeżeli nawet zrobił to jeden zawodnik, cieszyło się wielu — byli razem połączeni w radość. Myślę w skupieniu, kiedy to usłyszałem, ten okrzyk pierwszy raz, nie było roku i miesiąca, aby ci, którzy krzyżeć, milczeli, a jednak byli przez lata całe zapomniani tak, jak zapominamy, że rano przeciągamy się. Stopniowo uczyć się zapamiętywać te salwy krzyków, oto krzyżeć, gdy otwierałem książkę, gdy puszczałem płytę, zylem wśród tych krzyków przez wiele lat, a przypominałem sobie o nich tylko przez kilka minut. Cóż ja wiem o własnej pamięci, o tym, co leży na dnie mojego milczenia i życia. Wy, którzy krzyżycie dobrym i złym krzyżeniem, dlaczego nigdy nie pukaliście do mych drzwi, dlaczego nigdy nie krzyżycie mi dobrym czy złym krzykiem, wykrzyżczonym w twarz.

BERNARD SZTAJNERT



# STRZAŁ PRZEZ OKNO

Peter Kinney nudził się, niepotrzebnie znalazł się w tym studio malarszy, pełnym rozemnianych par.

Peter wstrzymał oddech. Mówiła jego żona Aloha, baletnica z Orient Clubu. Nie, nie była Hawajką. To jej pseudonim.

Zachowuje się jak pustelnik, nie ma przyjaciół, cały dzień siedzi przy biurku i pisze swoje kryminały.

— Nie kocha cię? — zapytała druga kobieta. Peter rozpoznał głos Hedy Delong, przyjaciółki żony.

— Kocha, gdy znajdzie wolną chwilę, aby oderwać się od maszyny. Uwielbiałam go, ale teraz przychodził mi czasem ochota zamordować go.

Oto, jak mówiła po śledztwie miesiącach małżeństwa!

— U mnie wszystko skończyło się z Delongiem — papiała Hedda. — Podarł testament, w którym wyznaczył mi jedyną spadkobierczynią. Ma teraz inne kobiety...

— Więc dlaczego się z nim nie rozwiedziesz? — przerwała Aloha.

— Delong nie chce rozwodu, chociaż wie, że Kocham innego. Chciałabym poślubić Jima Phebusa.

— Phebus? To jest mój szef z Orient Clubu.

— Delong nie ma w domu nie pomaga. Jestem kucharką i służącą, cały dzień czyszczę tę naszą chałupę, żeby jakoś wyglądała. Mężczyźni się niewiele walcu.

— To prawda — potwierdziła Aloha. — Chodźmy, musimy poszukać tego pustelnika.

Gdy odeszły, Peter wyłiznął się ze studia i pojechał do domu. Chciał skończyć nowelę i zacząć następną. Po kilku minutach usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Rozpoznał głos Alohy. — Usiądź, Tris, zrobisz drinka.

Peter opuścił gabinet i wszedł do salonu.

— Co tu robisz? — zapytała przestraszona Aloha.

— Szkoda mi było tracić czas i przyszedłem do domu, żeby pić.

— Ty tylko to umiesz robić — rzekła Aloha.

— Muszę zarabiać, a mój wydawca chce mieć natychmiast jakieś opowiadanie.

— Przecież mu dałeś wczoraj! — Odrzucił je.

— Bo nie umiesz sprzedawać! Mężczyzna wstał i przyglądał się małżeństwu. Aloha zwróciła się do niego ze słodkim uśmiechem: — Mój mąż jest pisarzem. A to jest pan Tris Delong.

Podali sobie ręce. — Pańska żona zaprosiła mnie, ponieważ ja... a raczej ona... A więc pan pisze kryminały? To ciekawe.

— Dlaczego? — zapytał Peter.

— Może pan jest mordercą? Twarz Delonga zlodowiała.

— Wypraszam sobie tego rodzaju żarty. Jestem zbyt dobrze wychowany, żeby kogoś zabić.

— Peter, przygotuj coś do picia — zaproponowała Aloha.

— Dobrze! — Wszedł do kuchni trzaskając drzwiami. Za chwilę pokazał się Delong. — Czy pomoć panu? — zapytał.

— Gdybym wiedział, że pan przyjdzie, zrobiłbym tort. Od jak dawna zna pan moją żonę?

— Spotkałem ją na kilku przyjęciach i widziałem jak tańczyła w Orient Clubie.

— Cocktail gotowy. — Wszedł do salonu, Peter napełnił szklanki. — Po cocktailu możemy sobie rozmawiać, ile tylko chcemy. Ja muszę pracować — rzekł Peter.

— Peter! — krzyknęła Aloha. — Mam tego dosyć! Chodźmy Tris! Napilemy się gdzieś indziej czegoś lepszego. Pójdźmy do ciebie, mój drogi. — Wyszedł.

Mój drogi! Peter wrócił do swego gabinetu, do noweli. To było ważniejsze. Pisał z zaciętością, dopóki nie skończył. Oczy miał czerwone ze zmęczenia, zegar wskazywał północ. Nagle zadzwonił telefon. Mówił jakiś mężczyzna.

— Czy pańska żona jest w domu? — Nie ma. Kto mówi? — Telefonuję z domu Trisa Delonga. Proszę tu przyjechać.

— Co się stało?

— Delong został zabity. Powiedziano nam, że zrobiła to pańska żona...

Przed wyjazdem z domu Peter zostawił w syplalni na stole list: „Aloha, uciekaj, szuka cię policja. Spotkamy się na stacji kolejki podziemnej 96. Peter”...

Willa Delonga znajdowała się za miastem, otaczała ją łąka. Policja była już na miejscu.

— Panie Kinney — zaczął Duvan. — Chciałbym zadać panu kilka pytań w sprawie żony.

— Najpierw ja. Co to za gadanie, że moja żona strzelała do Delonga? Nie miała nigdy pistoletu!

— Ona nie, lecz Delong miał. Oto fakty: godzinę temu odebrałm telefon jakiejś sąsiadki, która powiedziała, że Aloha Kinney szła przez łąkę za domem. Jak państwo widzieli okna tego pokoju wychodzą na łąkę, Delong zbliżył się do tego zamkniętego i dał znak pańskiej żonie, aby wróciła. Wówczas ona się zatrzymała, wyciągnęła z torebki pistolet i strzeliła do niego dwa razy, zabijając Delonga.

— Ależ to śmieszne! — krzyknął Peter. — Aloha nigdy by tego nie zrobiła! — Zwrócił się do Hedy i Phebusa. — Znacnie Aloha, czy wierzyecie...

— Przykró mi — odpowiedziała Hedda zimno — nie wiem. Gdy wróciłam po zaśnie w Phebusem, policja już była.

— Panie Kinney — rzekł inspektor. — Jakże obcasy nosi pańska żona?

— Szpilki, około dziesięciu centymetrów.

— A więc, proszę posłuchać. Nikt nie chodził po tej łące, zbadaliśmy ją. Jedyną kobietą, która nosiła bardzo wysokie obcaszki. Zatrzymała się o sześć metrów od zamkniętego okna, strzeliła dwa razy z pistoletu kaliber 32, potem wróciła do domu. Widocznie chciała się upewnić, czy Delong nie żyje. Muszę teraz porozmawiać z panią Kinney — rzekł Duvan.

— Nie wiem, gdzie jest. Czy można obejrzeć to okno?

— Proszę bardzo.

Szyba miała dwa równe, okrągłe otwory na wysokości pierśi mężczyzny. Peter zszedł gips, którym przymocowano szybę do ramy, był twardy. Następnie obejrzał ślady na łące i musiał przyznać, że zgadzały się z tym, co mówił Duvan.

— Niech się pan postara teraz odszukać żonę i przypro-

wadzić ją do Centrali — rzekł inspektor.

Peter wrócił do domu. W syplalni znalazł reszki listu, który zostawił dla Alohy. Widocznie zniszczyła go przed wyjściem. Zachowując wielką ostrożność udał się na spotkanie. Peron był pusty. Nagle usłyszał lekki gwizd. Zobaczył Alohę ukrywającą się w damskiej toalecie. Zbliżył się. — Coś ty narobiła? — Udawał złość, aby ukryć niepokój. — Czy ty go zabiłaś?

— Nie, to nie ja.

— To już coś jest. A co się wydarzyło między tobą a drogim Trisem?

— Chciałam wzbudzić w tobie zazdrość. Peter, nie wiesz jak bardzo cię Kocham!

— I dlatego myślisz o rozwodzie i o zbrodni? Dalej, Aloha, mów wszystko!

— Gdy wyszliśmy razem, Tris powiedział, że zna wydawcę, który może wiele zrobić dla ciebie i zaproponował żebyśmy poszli do jego domu porozmawiać na ten temat. W gabinecie pokazał mi swe trofea myśliwskie.

— Jagnię w jaskini wilka. Pięknie!

Robiłam to wszystko dla ciebie. Lecz nagle zrozumiałam, że nie było żadnego wydawcy. Pchnęłam go, zabrałam torebkę i uciekłam. Gdy szłam przez łąkę, Tris wychylił się przez okno i zawołał mnie, obiecując, że będzie się dobrze zachowywać. Nagle zmienił się wyraz jego twarzy, spojrzał w bok i zamknął okno. Usłyszałam dwa strzały i zawróciłam myśląc, że się zraniał przypadkowo. Zostawiłam torebkę w halu i wszedłam do gabinetu. Tris leżał na podłodze, kosząc miał skrawioną. Zabrałam torebkę i uciekłam. Peter, pożycz mi chusteczki!

— Dlaczego nie użyjesz swojej?

— Nie chcę otwierać torebki — wyszeptała Aloha. — Jest tam pistolet.

— Co, pistolet? Podaj mi torebkę! — Otworzył ją i zobaczył kaliber 32. — Skąd to wzięłaś?

— Nie wiem. Znalazłam w torebce po śmierci Trisa.

Nagle Peter usłyszał czyjś kroki i odwrócił się. Inspektor Duvan i dwaj policjanci zbliżyli się. — Zabieram torebkę i pańską żonę — rzekł inspektor.

— Proszę zaczekać, ona jest niewinna!

— Powie o tym sądowi.

— Kogo z nas pan śledził? — zapytał Kinney.

— Nikogo. Gdy pan był w domu Delonga, wysłałem agen-

ta do pańskiego mieszkania. No i znalazł liścik...

Umieścili Alohę w celi kobiecego więzienia. Patrzyła na Petera przez kraty jak męczennica.

Peter udał się do Duvana. — Inspektorze — zapytał — czy szłoby pan wierzyć, że to otwory w szybie powstały od kulek? Bo ja nie. Jeżeli ktoś strzelił w szybę, to albo zostanie cała rozbita, albo zrobią się nierówne otwory wokół których popęka szkło.

— Możliwe, że te otwory w szybie są podejrzanym, ale czy jest takie narzędzie, które mogłoby je zrobić prócz pistoletu?

Następnego dnia Peter spał do godziny 10-tej. Poszedł do kuchni, żeby przygotować sobie płatki owsiane. Nie znalazł tam tymb, więc wyciągnął z szuflady kszątkę „Doskonała pani domu” i zaczął ją przerzucać.

W południe poszedł do Orient Clubu, żeby zobaczyć się z Phebusem. W biurze zauważył człowieka, który majstrował koło kłamek. — Co się stało, czy ktoś wyłamał zamek?

— Nie, śrubki się obluźowały — wyjaśnił Phebus.

— Nie może pan tego sam zrobić? Wystarczy śrubokręt.

— Ja się na tym nie znam. Czym mogę panu służyć?

— Przyszedłem w sprawie Alohy. Jeżeli wyjdzie z więzienia, czy będzie mogła dalej pracować u pana?

— Jeszcze jak! Takiej wspaniałej reklamy nigdy nie miałem. Pomyśleć, zamieszana w zbrodnię!

— Dziękuję panu. Pójdę teraz coś zjeść.

Lecz tym razem Peter nie dokończył gotowania obiadu. Zadzwonił do Duvana. — Inspektorze, już wiem jak przedziurawić szybę bez użycia pistoletu. Zademonstruję to panu w kobiecym więzieniu. Wszyscy muszą być obecni przy eksperymencie: pan, Hedda Delong, Jim Phebus i Aloha. Przyjadę tam za pół godziny...

Wszyscy przyglądali się z ciekawością przygotowaniu. Peter oparł o poręczę dwóch krzesel szklaną płytę, ustawił pod nią miskę. — Najpierw wyznaczam punkt, w którym chcę zrobić otwór. Z tej gliny robię pierścien, który kładę na szybie w określonym miejscu. A teraz proszę mi przynieść ołów. Za chwilę kobieta wróciła, trzymając w ręce naczynie z roztopionym ołowiem. — Teraz nalewam trochę płynu do wnętrza pierścienia z gliny. Proszę uważać.

Obecni usłyszeli suchy trzask, ołów i okrągły kawałek szkła

wpadł do miski. Peter promieniował. — Patrzcie, jaka piękna dziurka!

Także Duvan był podniecony. — Zupełnie jak ta w gabinecie Delonga. Ale kto użył tego systemu?

— Zaraz wyjaśnię. Szyba została wyjęta z okna i po zrobieniu dziurek z powrotem założona. Wykonano to wiele dni wcześniej, ponieważ gips jest już suchy. Zbrodniarz czekał na odpowiedni moment, który nastąpił wtedy, gdy Delong zaprosił swoją żonę do swego domu. Po ucieczce Alohy z gabinetu wszedł tam zbrodniarz, skierował pistolet na Delonga i rozkazał mu, żeby zamknął okno. Delong został zabity wewnątrz pokoju. Aloha wróciła, zastawiając w halu torebkę, do której zbrodniarz włożył pistolet. Gdy Aloha znów wyszła z domu Trisa, wezwał policję zmieniający głos.

— Ale kto to mógł być? — zapytał Duvan.

— Dwie osoby mogły wyciągnąć korzyść ze śmierci Delonga: jego żona Hedda i Phebus. Hedda była żoną, że mąż ją wydziedziczył, że ją zdradzał, nie godził się na rozwód itd. Motywów jest dużo. Phebus — wątpię, żeby mógł wymyślić taką sztuczkę diabelską, jeżeli nie umie przykręcić śrubki, jak to dziś stwierdziłem.

— A więc zostaje tylko ja — zauważyła Hedda z ironią.

— Istotnie. Pani się chwaliła, że jest dobrą gospodynią, jednak nie zauważyła pani dziur w szybie. Zabiła pani męża jego własnym pistoletem...

Hedda była spokojna. — I wy myślicie, że to wszystko zmusi mnie do zeznania?

Aloha poderwała się. — Ach ty wstrętna czarownico! Przez ciebie zostałam oskarżona i zamknięta na całą noc w tym śmierdzącym więzieniu!

— Aloha ciągnęła ją za włosy, kopiała po nogach jak furia zerwana z łańcucha.

— Bestia — ryczała Hedda — zatrzymajcie ją! Wyznam wszystko!

Dziesięć dni odprowadziła Hedda do więzienia...

— Panie inspektorze, czy mogę zabrać żonę do domu?

— Niech pan zabiera, gdzie pan chce...

W takówe Aloha zapytała: — Powiedź, Peter, jak wymyślił ten system robienia dziur w szybie?

— Rozwiązanie mamy w kuchni, mój skarbie. Znajduje się w kszątkę, którą ci podarowałam na urodziny: „Doskonała pani domu”.

A. S.

## Pies w kryminale

Literatura detektywistyczna — aczkolwiek nie wszyscy są skłonni „kryminały” zaszczycić mianem literatury — jest najpopularniejsza w świecie. Kiedy w UNESCO badano rozpowszechnianie dzieł literackich w świecie poprzez przekłady, okazało się, że Agata Christie ze swoimi powieściami przetłumaczonymi na 109 języków, zajęła trzecie miejsce po uciążliwej konkurencyjnej Biblii i dziełach Lenina. W swojej specjalności 80-letnia dziś pani pokonała klasyków takich, jak Artur Conan Doyle, aczkolwiek nazwisko Herkulesa Poirot ciągle jeszcze nie jest symbolem tak, jak nazwisko Sherlocka Holmesa.

Anglia jest ojczyzną powieści kryminalnej, Anglicy traktują tę powieść prawie serio. To w Londynie powstał na Picadilly Circus „Detection Club”, którego członkowie prowadzili gorące i zaciekle dyskusje nad zasadami tworzenia tej powieści. I w spadku pozostawili światu reguły pisania „kryminałów”. Miał ich przestrzegać każdy, kto starał się zostać członkiem Detection Club. Oto one, w ośmiu lapidarnych punktach ujęte:

1. Czytelnik musi mieć te same szanse rozwiązania zagadki co detektyw. Należy ujawnić przed nim wszystkie fakty, którymi rozporządza detektyw.

2. Zabrania się wprowadzania nieznanymi, nie zarejestrowanych w spisie trucizn oraz tajemniczych Chińczyków.

3. W jednej powieści dozwolone jest nie więcej niż jedno tajemne przejście i jeden tajemny pokój.

4. Zbrodniarz musi być pokazany już w pierwszej części opowiadania. Nie musi on jednak zwracać specjalnej uwagi czytelnika.

5. Zabronione są wszelkie nadprzyrodzone zdolności tak zbrodniarza jak i detektywa.

6. Nie mogą występować bliźnięta i sobowtóry chyba, że czytelnik zostanie o tym poinformowany.

7. Zbrodniarz nie może popełnić przestępstwa dlatego, że jest nienormalny. Autor musi umieć wyjaśnić czytelnikowi przestępstwo w sposób wiarygodny. Wszelkie nieprawdopodobieństwa muszą znaleźć prawdopodobne uzasadnienie.

8. Detektyw nie może być przestępcą.

Ot i wszystko. Zdaje się, że autorom polskiego przebogatego dorobku literatury kryminalnej reguły te są raczej nie znane. Nasi autorzy „kryminałni” nie wiedzą o tym, że w powieści kryminalnej w ogóle obowiązują jakiegokolwiek reguły, wykorzystując zapotrzebowanie społeczne, jedni biorą w milicji czy prokuraturze akta zamkniętej już sprawy (patrz: Jerzy Edigey) i pitraszą z tego tyle naiwny, co nudny obraz pracy naszych organów ścigania, inni, mniej pracowici, a obdarzeni większą fantazją, siadają i wymyślają historie tyle nieudaną co nieprawdopodobną (patrz: Zygmunt Zeydler-Zborowski). Piszą na ogół pod pseudonimami i to jedno przemawia na ich korzyść. Znaczą bowiem, że zdają sobie sprawę z wartości swojej twórczości.

Polskie powieści kryminalne mają to do siebie, że zarówno treść jak i nazwisko autora ulatują z pamięci wraz z zamknięciem książki i westchnieniem: ależ chała! Z tego powodu, dla sprawdzenia reguł ustalonych przez członków Detection Club, posłużyć się mogą jedynie dwoma przekładami przeczytanych ostatnio powieści. Ale za to są to przykłady klasyczne. Jeden to powieść Malwiny Szczepkowskiej pt. „Trzeci na imię śmierć” (Wyd. Poznańskie, nakład 40 tysięcy egzemplarzy), gdzie zbrodniarką jest kobieta chora psychicznie (patrz punkt 7 regulaminu Detection Club). Ale to jeszcze nie najgorsze. Czytelnik orientuje się w jej chorobie psychicznej natychmiast na początku powieści, bohaterowie zaś dopiero na stronie 230, czyli ostatniej. Bardzo jest to denerwujące, bo chętnie by się pomogło niedomyślnym, podpowiedziało, a niestety, nie można. Już jest za późno. Wydawnictwo wypłaciło autorce (?) honorarium. Zdrowi psychicznie bohaterowie też są w tej książce przedziwni. Profesor-naukowiec taki obrzęki, że wylewa się z foteli i kanap, wieczorem pije

wódkę i gra na wiołonczeli, a rano prowadzi eksperymentalną stację naukowo-badawczą. Jest i dziennikarz, któremu tajemnicze siły kradną reportaż. Choć reportaż nie zawiera tajnych danych, tylko impresje dziennikarza. Ech, żeby tak w życiu, żeby ktoś chciał ukraść mój reportaż. Albo któregoś z moich kolegów.

Drugą powieścią kryminalną zaczytywałam się też niedawno. Zygmunt Zeydler-Zborowski „Polowanie na jastrzębia”. Autor ten, ilością napisanych powieści, dorówna zapewne niedługo Agacie Christie. Ale tylko tym jej dorówna, choć fantazji ma na pewno więcej. Przeważnie pisze z życia inteligencji, czasem o prostym ludzku. Ale nie o język chodzi, można przecież przetłumaczyć na języki obce i nieudolności znikną. Zeydler-Zborowski jest z tych, co mają fantazję. W ostatniej powieści fantazja poniosła go na szczyty. Po długich zmaganiach władz śledczych w poszukiwaniu przestępcy okazało się, że jest nim pies. To pies wskoczył na bryczkę, nacisnął spust broni leżącej tam i trafił pana prosto w serce. Władze śledcze uwierzyły. I dobrze, bo się powieść mogła skończyć.

Muszę przyznać uczciwie, że autor nie jest w kolizji z regulaminem Detection Club. Jego przestępca został pokazany już w pierwszej części i nie wrócił specjalnie uwagi czytelnika. Nie było bliźniąt ani sobowtórów. Ani tajemniczego Chińczyka. Przestępca nie był umysłowo chory. Nie było tajemnych przejść i pomieszczeń. Więc luka w regulaminie? Nie, po prostu tamtych nie przyszło do głowy, że można znaleźć takie rozwiązanie. Zborowski sam to wymyślił, otwierając przed literaturą detektywistyczną szerokie perspektywy. Mam nadzieję, że mnóstwo inteligentnych zwierząt. Mogą być nie tylko przestępcami, ale i detektywami.

Jedno trzeba naszym powieściom kryminalnym przyznać. Przestępcę zawsze spotyka zasłużona kara. Bezkarne pozostają tylko autorzy. Oraz wydawnictwa, które te bzdury powielają w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Może to też temat do kryminału?

TERESA WOJCIECHOWSKA